

04, 05, 06 / 2025 > 99



TEATR NOWY
W POZNANIU

FRESHMAG.PL





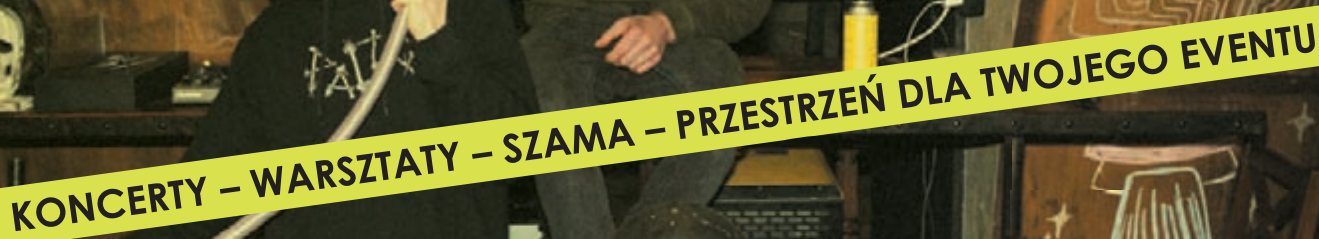
4	5	6	7	8
---	---	---	---	---

PRZERWA NA CHWILĘ



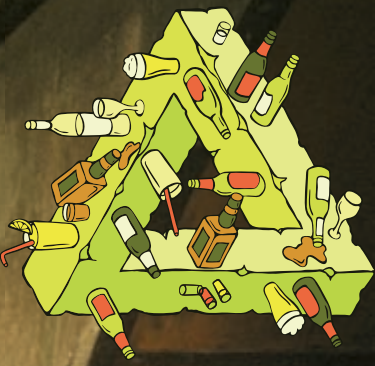
www.abcalkoholu.pl

3ECIA 3ECIA 3ECIA 3ECIA 3ECIA 3ECIA

A person wearing a black hoodie with the word 'FATE' on it is playing a guitar. The background is a workshop or rehearsal space with various equipment and a yellow caution tape banner across the bottom. The banner contains the text: KONCERTY – WARSZTATY – SZAMA – PRZESTRZEŃ DLA TWOJEGO EVENTU.

KONCERTY – WARSZTATY – SZAMA – PRZESTRZEŃ DLA TWOJEGO EVENTU

POZNAJ INNY WYMIAR M3LANZU



3ECIA

STRONA BARU

ODKRYJ 3ECIĄ STRONĘ PRZYJEMNOŚCI

3ECIA 3ECIA 3ECIA 3ECIA 3ECIA 3ECIA 3ECIA 3ECIA 3ECIA



Intro

Redaktor naczelny: Dawid Balcerek

Przez kilka ostatnich lat na naszych okładkach pojawiały się prace świetnych poznańskich artystów. Zawsze kładliśmy duży nacisk na promowanie sztuki lokalsów. W tym temacie nic się nie zmieniło, czego dowodem jest ten numer i wywiad z utalentowaną Helena Minginowicz, której sztuka dotarła już nawet za ocean. Często jednak padało pytanie, dlaczego na tych okładkach nie ma ludzi? Chcieliście, to macie! Pani z okładki, która wybrała się na Chwiałkę w oryginalnym stroju, jest jedną z postaci spektaklu „Alicja w krainie Czarów. Remix”, który jest grany w Teatrze Nowym im. Izabelli Cywińskiej w Poznaniu. Za reżyserię tego klasyka w nowej odsłonie odpowiada Zdenka Pszczółowska, z którą mieliśmy przyjemność porozmawiać zaraz po premierze sztuki. Wywiad znajdziecie na łamach magazynu wraz ze świetnymi zdjęciami Klaudyny Schubert. Jak sami zobaczycie, wypad na basen ewidentnie się udał.

W wiosennym wydaniu przeczytacie również wywiad z legendą polskiej sceny techno, którą bez wątpienia jest Carla Roca. Nasza Sylwia Klaczyńska zrobiła trochę fotek, które wyszły świetnie. Poznanianka swego czasu była nazywana polską królową techno i takie też ma zdjęcia do artykułu.

Jak już jesteśmy przy didżejce, to chciałbym się też pochwalić naszą publikacją dotyczącą historii poznańskiej sceny turtablistycznej. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek jakieś poznańskie media wzięły ten temat na tapet. Na początku marca, przy okazji imprezy Drapaczki Wosq w klubie Dom Technika, opublikowaliśmy na naszej stronie tekst Tomasza Grzeszkowiaka pt. „Kim jest DJ każdy wie – miksuje muzykę i gra imprezy. A turntablizm?” Stanowił on zajawkę powyższej imprezy, ale zahaczył również kilka ciekawych wątków związanych z naszą lokalną sceną i jej historią. Stwierdziliśmy, że to dobry punkt wyjściowy do stworzenia większego artykułu. Oczywiście nie da się wszystkiego upchnąć w jednym tekście, bo o tym mogłaby powstać osobna książka, ale postaraliśmy się przedstawić Wam samo zjawisko i ludzi związanych z poznańskim turtablizmem. Wypowiedzi udzieliło nam wiele kultowych postaci. Szkoda, żeby ten materiał się zmarnował, więc tekst wrzucimy na naszą stronę, jeszcze w obszerniejszej wersji.

Zapraszam Was do lektury, bo jest do czytania dużo dobrego materiału na te wiosenne dni.



REDAKTOR NACZELNY:

Dawid Balcerek
dawid@freshmag.pl

WYDAWCA:

Michał Krupski
michal@freshmag.pl

WYDAWCA:

Craft sp. z o.o.
ul. Książęca 1
61-361 Poznań

REKLAMA:

Michał Krupski
600 286 242
michal@freshmag.pl

WSPÓŁPRACA:

Sylwia Klaczyńska
Natalia Bednarz
Zofia Myślicka
Paweł Niedzielski
Józef Śliwiński

Marynia Tuliszka-Nowacka
Dominika Majewska
Karolina Sierszulska
Rafał Szaroleta
Tomasz Grzeszkowiak
Julia Lipowicz

NAKŁAD:

4000 sztuk

OKŁADKA:

fot. Klaudia Schubert
„Alicja w Krainie Czarów. Remix”

6

Wywiad z zespołem Błoto

J Dilla i jego wpływ na hip-hop

14

**Rozmowa z reżyserką
Zdenką Pszczółowską**

Kulisy powstania spektaklu
„Alicja w Krainie Czarów. Remix”

20

„Najntisy Forever!”

Nostalgiczna wystawa w CK Zamek

26

FreshArt z Heleną Minginowicz

Artystka podbijająca świat

10

Bzubaga – nowa jakość z Poznania

Wywiad z zespołem, który wychodzi
poza trendy muzyczne

18

Spektakl „Avenue Q”

Musical z Broadwayu
w poznańskim Teatrze Muzycznym

24

Poznański Festiwal Sztuki Komiksowej

Kultowe wydarzenie,
nie tylko dla fanatyków komiksów

30

**Fundacja Niepodzielni
– w walce o zdrowie psychiczne**

Rozmowa z Martą Kurasz i Karoliną Zawadzką

36

**Ziemniaki przeniesione
na wyższy poziom**

Kultowy Pyra Bar w nowej odsłonie

42

HUB 5

Nowe wcielenie
poznańskiej klubowej legendy

50

Poznańska historia turtnablismu

DJ – pierwszy element hip-hopu

34

MyTuJemy świętują 10 urodziny

Rozmowa z duetem blogerów,
którzy wyszli daleko poza sferę internetową

40

Powraca Klub na Fali

Jeszcze w kwietniu będziemy mogli odwiedzić
nadwarciańską miejscówkę

46

Carla Roca

Wywiad z jedną z najbardziej rozchwytywanych
DJ-ek w kraju



Błoto

„J Dilla wprowadził w muzyce inny kolor”

Rozmawiała: Zofia Myślicka

Zdjęcia: Róża Sasor

J Dilla to postać, która na zawsze zmieniła oblicze hip-hopu, a jego wpływ wciąż jest odczuwalny w muzyce na całym świecie. Zespół Błoto, znany ze swojego surowego, improwizowanego podejścia do muzyki, postanowił oddać hołd legendarnemu producentowi podczas trasy „We remember J Dilla”. Z chłopakami rozmawiamy o fascynacji twórczością legendarnego producenta, jego wpływie na nich oraz o ciągłym odkrywaniu nowych obszarów muzyki tego wybitnego producenta.

Kiedy i jak rozpoczęła się Wasza przygoda z Jay Dee? Czy macie jakąś historię związaną z momentem, kiedy pierwszy raz usłyszeliście jego utwory?

Sebastian Jóźwiak: Dilla był w czasach Puzzli, ale wtedy jeszcze nie było Błota, to był inny skład, ale chodzi o taki zaczyn. To były początki 2011 roku – skład się zmienił, trochę wymieszał i tak jest teraz.

Marcin Rak: J Dilla zawsze gdzieś się przemyczał w naszej muzyce, czy to było EABS, czy Błoto – jest dla nas dużą inspiracją.

Olaf Węgier: Pamiętam, że nasz pierwszy koncert poświęcony J Dilli odbył 5 lat temu, tuż przed pandemią i było to tylko jedno wydarzenie. Wiadomo, luty jest miesiącem Dilli, mamy 5 lat później i nagle jest tych koncertów już 10.

Kto wpadł na pomysł, żeby zorganizować taką mini trasę?

Marcin: Na pomysł wpadł nasz manager, Sebastian. To on nas nakreślił i mocno działał z organizacją.

Sebastian: Wcześniej odbywały się jakieś J Dilla tributy, które były związane z tym, że ktoś grał DJ sety. Pomyślałem, że można to zrobić lepiej i inaczej. Właściwie kto zagra lepiej Dillę, niż zespół, który umie grać instrumentalny hip-hop? (śmiech)

Kiedyś, w jednym z wywiadów, powiedzieliście, że „poszukiwanie nowych dźwięków, to nowy synonim wolności”. Czy to, że teraz interpretujecie utwory J Dilli na scenie, to jest dla Was ta wolność?

Piotr: Prawda jest taka, że podczas grania ludzie powinni rozpoznawać utwory, które Jay Dee wyprodukował. Z naszymi koncertami jest

jednak inaczej, my gramy jego materiał po swojemu. Oczywiście wciąż mamy w głowie jego kod rytmiczny, ale tak naprawdę to są nasze koncerty, którymi składamy mu hołd.

Marek: Teraz, po zagranie wszystkich koncertów słyszymy, jak ten materiał się otwiera i jak korzystamy z tej wolności.

Mówicie często, że Błoto to przypadek, że Wasze materiały powstały z przypadku...

Sebastian: Uważam, że nie ma przypadków. Ktoś może to tak nazywać, ale wszystko jest gdzieś zapisane. Każdy ma swoją drogę i to, co ma się wydarzyć, prędzej czy później się wydarzy.

Marek: Chodzi o to, że wszystko się wykrystalizowało naturalnie, bez wcześniejszych planów realizacji. Dopiero po fakcie można powiedzieć, że to był przypadek.

Macie w planach tego typu wydarzenia, ale związane z innymi artystami?

Marek: Od dwóch lat robiliśmy taki cykl, w którym graliśmy rzeczy swoje, ale jednocześnie nie do końca nasze. Swoje w sensie, że wynikające z naszych hip-hopowych dusz. Graliśmy koncerty w hołdzie dla zachodniego i wschodniego wybrzeża hip-hopu. Jednak Dilla month to jedyna okazja w roku, żeby zagrać takie koncerty, i traktujemy to jako nasz religijny obowiązek, by to zrobić.

Myślę, że z roku na rok zainteresowanie J Dillą wzrasta.

Sebastian: Właśnie najlepsze jest to, że młodzi ludzie zaczynają go słuchać. Dochodzi do tego kwestia edukacji muzycznej i coraz częściej widzimy młode twarze na koncertach.

Marek: Fascynujące było to, że gdy graliśmy w Katowicach, pojawili się ludzie z Austrii, którzy jak się okazało specjalnie przyjechali na nasz koncert. Co ciekawe, w ogóle nie znali naszej działalności. Nie wiedzieli nic o Astigmaic Records, co to EABS, znali tylko Błoto. Od słowa do słowa okazało się, że jedna z osób zna Makaya McCravena, czyli kogoś, kto podobnie jak my odświeżył myśl wartościowej muzyki.

Marcin: Różne historie się zdarzają. Ludzie przyjeżdżają zza granicy, żeby posłuchać Dilli. Nie tylko lokalsi, to jest miłe.

W Polsce mało jest takich wydarzeń. Imprezy w klubach, sety didżejskie jak najbardziej, ale koncerty muzyką na żywo, gdzie oddaje się hołd jakiemuś artyście rzadko się odbywają.

Sebastian: Tak, a poza tym ludzie nie wiedzą, że znają J Dillę, bo kiedy słuchają Erykah Badu, D'Angelo czy A Tribe Called Quest, to tak naprawdę słuchają J Dilli.



Marek: Ja jestem z tego towarzystwa, długo nie wiedziałem, że słucham Dilli, mimo, że jestem fanem hip-hopu od wielu lat. W mojej głowie tkwiło przekonanie, że producenci, którzy się liczą to DJ Premier, Pete Rock, ewentualnie Erick Sermon. Dużo czasu zajęło mi zorientowanie się, że słucham Dilli.

Przez social media, dawniej popularna muzyka znów wraca do łask, co o tym myślicie?

Sebastian: Od wydania Donuts i śmierci J Dilli minęło prawie 20 lat, więc osoby w naszym wieku, które jarały się wydaniem tego albumu, pamiętają go jeszcze na świeżo. Mija 15 lat, a ta muzyka jest teraz odkopywana. Olaf, ty chyba rozkminiłeś wszystkich producentów?

Olaf: Tak, ale nie w tamtych latach. Słuchałem tej muzyki, tak, jak Wy i nie wiedziałem, że słucham J Dilli.

Sebastian: Wychodzi na to, że jestem jedyny „J Dilla changed my life”. (śmiech) Też mówię o tym momencie, kiedy wyszła współpraca z Madlibem jako Jaylib – ja po prostu pamiętam te czasy.

Marek: U mnie się lampka zapaliła, jak kupiłem kasetę Commona „Like Water For Chocolate” i szedłem z walkmanem po parku. Zdałem sobie wtedy sprawę, że słyszę muzykę przyszłości i ona mi się podoba. Był tam jeden bit DJ Premiera i mówię: o znam! Jednak dalej nie rozkminiłem, że to produkuje J Dilla. Dopiero po jego śmierci sobie to uświadomiłem.

Paweł: Po jego śmierci ukazało się bardzo dużo rzeczy i ciężko jest zbadać cały dorobek muzyczny i szereg współprac. Utrudniały to liczne ksywki, pod którymi działał. Jednak wydaje mi się, że można go było usłyszeć po charakterystycznej perkusji i nietypowych brzmieniach. Wszystko brzmiało koślawo, ale zarazem spójnie. Dla mnie to współczesny funk, tak rozumiem jego muzykę.

Marek: Madlib go określił He was the funkier, był po prostu najfunkowniejszy, w najlepszym tego słowa znaczeniu – on po prostu zmienił grę.

Dilla wychodził naprzeciw schematom...

Marcin: Jego muzyka wręcz swinguje. To jest tak, jakby przełożyć te bity na swing, ale niektórzy tego nie rozumieją, mówią, że to zostało źle nagrane.

Olaf: Tak się zawsze działo w historii muzyki. Muzycy z ery swingu mówili tak o hip-hopowcach, którzy chodzili i zmieniali grę, po czym 70 lat później to są standardy jazzowe, a kiedyś to było nowatorstwo.

Sebastian: Dodatkowo technologia odgrywa tu dużą rolę. Kiedyś niektóre maszyny do bitów nie miały takich możliwości, jak zmienianie tempa sampla względem siebie. Gdy nadeszła era automatyzacji, chodziło o to, żeby wszystko było równo. J Dilla używał tych maszyn jak prawdziwy perkusista, wykorzystywał technologię, ale w ludzki sposób.

Jak jesteśmy przy sampilowaniu i bitach, to co najbardziej doceniacie w jego twórczości?

Marcin: Myślę, że przede wszystkim brzmienie, czyli krótkie werble, dużo perkusji, która się na siebie nakłada. Nikt tak wcześniej nie robił, to J Dilla wprowadził w muzyce inny kolor, eksperymentował i nie bał się tego.

Marek: Warto docenić to, że działał wbrew trendom, które dziś rozmywają styl producentów – w dobie coraz liczniejszych narzędzi wspomagających i opóźniających bity, on tworzył wszystko własnoręcznie, bez użycia wtyczek. Wierzę, że ta muzyka powróci do swojej organiczności, że ten system się przełamie i zniknie tendencja do chodzenia na skróty. Coraz więcej ludzi będzie praktykować muzykę na żywo – tak jak my.

„We remember J Dilla”, bo jest on Waszą największą inspiracją?

Marek: Na pewno ma wpływ na nasz styl, ale nie jest to doraźna inspiracja.

Marcin: On zmienił we mnie myślenie o czasie i o rytmie. Jak miałem 17-18 lat to nie znałem czegoś takiego. Jak go usłyszałem, to pomyślałem: to tak można?

A jak wyglądało układanie setlisty na to wydarzenie? Każdy coś wrzucił do worka?

Paweł: Pamiętacie te odtwarzacze w Empiku? Tak właśnie jest z tą setlistą – każdy dodał coś od siebie i oto jest.

Marcin: Mam wrażenie, że to mixtape z różną muzyką. Jest tak, jakbyś przeglądała bibliotekę płyt J Dilli. Niektóre utwory gramy w oryginalnej wersji, a w innych oddajemy hołd konkretnemu stylowi.

Wyobraźcie sobie, że stoi przed Wami ktoś, kto nie słucha zbyt wiele muzyki – od czego polecilibyście mu zacząć?

Olaf: Ja bym polecił utwór „Still Shining”, chodzi o to, żeby wrzucić kogoś na głęboką wodę.

Sebastian: Praktycznie wszystko, co wychodziło spod jego palców.

Zauważyłam również, że coraz więcej młodych ludzi zaczyna odkrywać tę muzykę.

Paweł: Też spotykam się z tym, że młodsza generacja już ma dosyć ściemy. Przez TikToka utwory dostają nowe życie. Choćby przypadek Myslovitz, podobno na TikToku jest to hit.

Sebastian: Minęła też era grania trapów, które są takie same. Tyler The Creator czy nawet DoeChii, oni robią coś innego. Jestem przekonany, że Tyler brałby od Dilli bity, gdyby ten żył.

Kiedy Tyler, DoeChii czy inni sławni muzycy mówią o takich osobach jak Dilla czy Madlib, młodsze pokolenie również zwraca na to uwagę.

Sebastian: Nie można też myśleć, że młodzi niczym się nie interesują.

Marek: To również kwestia skupienia, ponieważ ta zajawka nadal jest obecna. Zawsze powtarzam, że co pół roku poznaję co najmniej sto młodych osób, bo pracuję w szkole muzyki nowoczesnej. I od razu pojawiają się pytania: jak zarabiać na muzyce. Najpierw jednak trzeba przejść odpowiednią drogę.

Też mam takie wrażenie, tak jak mówisz – wszystko na szybko, szybko się nauczyć, zarobić, ale chyba też łatwo się poddać.

**Nikt tak wcześniej nie robił,
to J Dilla wprowadził w muzyce
inny kolor, eksperymentował
i nie bał się tego**



Marek: Porównuję to do zjawiska, które widziałem w filmie przyrodniczym: kiedy rodzą się żółwie morskie. Wychodzą na ląd, a potem czeka je długa droga do morza. Niestety, tylko niektórym udaje się dotrzeć do wody. To jest właśnie symbol wytrwałości.

Olaf: Jeśli od razu zaczynasz myśleć o nagrodach, to nie wytrwasz do momentu, w którym te nagrody otrzymasz. Podobnie powstawało Błoto, my chcieliśmy coś nagrać, a nie tworzyć nowy zespół.

Cały wywiad na www.freshmag.pl

A photograph of three people in a punk aesthetic standing on a rusty, industrial-style staircase. On the left, a man with a beard and short hair wears a black jacket over a green shirt and black pants. In the center, a woman with blonde hair wears a fur-trimmed jacket, black leather pants, and black gloves. On the right, a man with a beard and red hair wears a black leather jacket, a red and black scarf, and blue jeans. They are all smiling and looking towards each other. The background is a weathered wall with a window covered by a purple and white checkered curtain. The overall mood is gritty and urban.

„New Romantic Psycho Punk”

Bzubaga – powiew świeżości
na poznańskiej scenie alternatywnej

Rozmawiał: Michał Krupski

Zdjęcia: Natalia Pawlicka

Trio Bzubaga miesza doświadczenie muzyczne ze świeżą energią. Mają potencjał na pójście w innym kierunku niż kilkadziesiąt innych kapel punkowych, które powstały w ostatnich latach i w większości już zaginęły. Najbliżej im do środowiska punkrockowego, lecz de facto trudno zaszklafkować ich do konkretnej kategorii muzycznej. Choć członkowie zespołu związani są także z innymi projektami muzycznymi, to wydaje się, że to właśnie głównie w Bzubadze realizują swoje największe marzenia i potencjał. Niedawno Bzubaga wydała swoją pierwszą płytę i obchodziła swoje pierwsze urodziny podczas koncertu w klubie Miasto Bar na Szewskiej. Jak wyglądały ich początki? Jak określają swoją muzykę? Co mają w planach? Przeczytajcie.

Mówią o Was, że jesteście powiewem świeżości w poznańskim światku punkrockowym. Zgodzicie się z taką tezą?

Aga: Wydaje mi się, że w poznańskim światku jest mniej kapel grających melodyjnego punka niż lupanki hardcore'owej. Ale kto wie, czy gdzieś po piwnicach nie siedzą jakieś młode szczawie i czegoś ciekawego nie dłubią. Może właśnie w tej chwili powstaje przebój, którego nie zdążą pokazać światu, bo do tego czasu zespół zdąży się rozpaść. Ciężko znaleźć dobrą ekipę do grania, a jeszcze ciężiej ją utrzymać razem. Zazwyczaj członkowie kapel mają różne wizje grania. W Bzubadze wizje są podobne, z czego jestem bardzo dumna.

Niedawno ukazał się Wasz nowy materiał na CD. Długo nad nim pracowaliście? Z czego szczególnie jesteście zadowoleni?

A: Pracowaliśmy nad płytą rok. Najpierw powstały kawałki, a później wpadliśmy na pomysł, że w sumie fajnie by było je nagrać. Niektóre utwory powstawały jak pocisk, nad niektórymi się trochę męczyliśmy. Z początku próbowaliśmy ogarnąć to sami. Nagraliśmy parę kawałków na salce przez kabelki do komputera, a później okazało się, że teraz trze-



ba je porządnie zmiksować. Chciałam wziąć to na klatę i nauczyć się programu do miksowania, ale szybko pojęłam, że wszystkie te kompresory i equalizery to wyższa szkoła jazdy.

Przypomniało mi się, że pewien znajomy zaoferował nam pomoc w nagrywaniu jeszcze w czasach, zanim powstał zespół. Ten znajomy to Pleban, czyli Andrzej Chorzela, gość bardzo skromny, mimo że ma na koncie realizację płyt takich kapel jak Uliczny Opryszek, The Kolt czy Dumbs. Jest zasłużonym kontrabasistą na polskiej scenie psychobilly i rockabilly, prowadzi także swoje małe studio nagrań Tequila w Pułtusku. Nagraliśmy u niego 10 kawałków i klip muzyczny w 2 dni. Był to naprawdę świetny, ale i męczący czas, ponieważ katowaliśmy od 10 rano do 3 w nocy. Ten wyjazd bardzo nas wszystkich do siebie zbliżył. Była to naprawdę odjazdowa przygoda. Pleban jest odpowiedzialny także za mix i mastering, wydaniem płyty zajęliśmy się natomiast sami, bez angażowania wydawnictwa.

Bzyk: Nagrywanie płyty to była czysta przyjemność. Zrobiliśmy to w niecałe dwa dni. Właściwie to sesja była dość szybka i spontaniczna, bo chcieliśmy uchwycić ten moment, kiedy wszystko płynie naturalnie. Na początku planowaliśmy nagrać 4-6 kawałków, ale jak to z nami bywa – trochę się rozpędziliśmy! Wyszło 10 numerów, z czego dwa to totalnie świeże kawałki, które pojawiły się dosłownie na ostatnią chwilę. Miksowanie... to już inna historia! Cały ten proces trochę się wydłużył, bo zależało nam na tym, żeby brzmienie było naprawdę dopracowane. Chcieliśmy, żeby każda nuta była tak, jak sobie wyobrażaliśmy, więc cierpliwie czekaliśmy na efekt. Te numery pokazały nam, że idziemy w dobrym kierunku i że to początek naszej muzycznej ewolucji. Wprowadziły one



nową energię! Po nagraniu materiału i imprezie znalazł się jeszcze czas na nagranie klipu w najstarszym kinie w Pułtusk. A to wszystko dzięki zaangażowaniu Plebana – dzięki!

Dużą wagę przykładacie do tekstów. Czy mam rację? Kto za nie odpowiada?

Kuba: Teksty w naszej kapeli są pisane głównie przez Agę. Rodzą się najczęściej w wyniku obserwacji ludzi i codziennych sytuacji, w których sami uczestniczymy, jak również w wyniku przemyśleń, którymi dzielimy się na próbach, zanim rozgrzejemy lampy i się rozegramy. Masz rację, teksty są dla nas ważne. Aga stara się, aby w kawałkach zawrzeć faktyczne historie, dlatego usłyszysz o panu z Żabki, który podczas polecania batona walczy ze skutkami przedawkowania narkotyków, kawałek o współczesnym modelu rodziny nuklearnej czy zbiegu okoliczności, od którego zależy więcej niż mogłoby się wydawać. Aga zbuntowała się też przeciwko internetowemu światu, w którym zamiast przypatrywać się ludzkim twarzom, śledzisz zielone kropczki dostępności na fejsie.

B: Teksty to dla nas mega ważna sprawa. Rzeczywiście, Aga często bierze inspirację z tego, co dzieje się wokół nas, z różnych społecznych czy kulturowych tematów, które w jakiś sposób ją dotykają. Pisanie to dla niej sposób na przetworzenie tego wszystkiego, co w niej siedzi. Zwykle

staramy się pisać o rzeczach, które są dla nas ważne. Czasem są to bardziej ogólne refleksje o tym, co się dzieje wokół, a czasem idziemy w bardziej osobiste tematy. Aga potrafi wziąć te wszystkie myśli i zrobić z nich coś, co ma sens i trafia do innych. I to jest super! Widzimy, że te teksty naprawdę rezonują z ludźmi, a to dla nas najważniejsze!

Skąd w ogóle wziął się pomysł, aby rok temu rozpocząć próby w takim, a nie innym składzie?

B: Gramy dopiero rok, ale zanim się to wydarzyło, mieliśmy kilka prób współpracy. Tylko, że wtedy to wyglądało raczej jak... takie luźne jam session. Zero koncepcji, brak wokalu, po prostu graliśmy, żeby pograć. Spotykaliśmy się chyba po to, żeby sprawdzić, czy w ogóle da się coś z tego zrobić. Dopiero po jakimś czasie, kiedy zaczęliśmy naprawdę się zgrywać i mieć pomysł na to, co chcemy robić, zaczęło to wszystko nabierać sensu. Okazało się, że nie wystarczy tylko grać – trzeba mieć plan, pomysł i ekipę, która chce to z Tobą ciągnąć. I tak wszystko zaczęło się kręcić, a teraz mamy wrażenie, że to już nie tylko zabawa, ale coś, co naprawdę ma szansę wyjść na serio!

Wiem, że mieliście w planach, aby na wokalu był ktoś inny niż Kuba i Aga...

K: Zanim się zgraliśmy, wystawiliśmy ogłoszenia, że szukamy wokalu. Nikt z nas nie chciał śpiewać, baliśmy się, że ciężko będzie zgrać się z gitarami do śpiewu. Śpiew, ruch na scenie, do tego jeszcze skomplikowany bas z lataniem po gryfie, czy solówkami na gitarze. Szukaliśmy charyzmatycznego wokalisty czy wokalistki, odbyliśmy nawet jakieś próby z chętnymi, ale finalnie nic z tego nie wyszło...

Czujecie u Was wpływy muzyczne spoza Polski. W jakim kierunku zmierzacie?

K: „New Romantic Psycho Punk” – tak ostatnio na próbie określiliśmy swój własny gatunek do profilu na Bandcampie. Czasem imprezujemy na próbowni, a Bzyku wprowadza embargo na puszczanie rock’and’rolla i każdy musi wykazać się znajomością nuty z innych gatunków. Wyobraź sobie, słuchasz solowy Ritchiego Blackmore’a, a tu nagle wchodzi Billy Ocean z kawałkiem „Red Light Spells Danger...”.

B: Nasza muzyka to tak naprawdę wynik wspólnej pracy. To po prostu wypadek, że to, co każdy z nas wnosi, nie jest to specjalnie planowane. Gramy to, co czujemy, i to owocuje takim, a nie innym brzmieniem.

A: A co będzie z nami dalej? Sami jesteśmy ciekawi! (śmiech)

Cały wywiad na www.freshmag.pl



Organizatorzy:



POZnań*

Patroni medialni:



wyborcza.pl

CzasKultury

MINT

freshmag.pl



„Nasza Kraina Czarów jest inna”

**Rozmowa z reżyserką spektaklu „Alicja w Krainie Czarów. Remix”,
Zdenką Pszczółowską**

Rozmawiała: Karolina Sierszulska

Zdjęcia: Klaudyna Schubert

Z początkiem wiosny w Teatrze Nowym w Poznaniu odbyła się premiera spektaklu „Alicja w Krainie Czarów. Remix” Zdenki Pszczółowskiej, reżyserki teatralnej i dramaturżki. Spotkałyśmy się, by porozmawiać o procesie twórczym i kulisach powstawania „parafrazy”. Po doskonale znaną opowieść Lewisa Carrolla reżyserka sięgnęła kolejny raz. Czy można przedstawić ją inaczej? Kto stoi za nową interpretacją tekstu? Czym jest tytułowy „remix”? W poniższej rozmowie znajdziecie odpowiedzi, które jeszcze lepiej pomogą Wam zrozumieć tę Krainę Czarów.

Dlaczego Alicja? Jest to opowieść tak otwarta na interpretacje, że nierzadko osoby sięgające po nią chcą po prostu zmierzyć się z tym światem i zobaczyć, co przyniesie ta interakcja. Jaka jest Twoja motywacja do sięgnięcia po ten tekst, w końcu tak mocno już zakorzeniony w masowej wyobraźni?

To powieść, która w symboliczny sposób organizuje moją wyobraźnię. Trudno mi to precyzyjnie wytłumaczyć, bo nie jest to racjonalne, a raczej intuicyjne i impresyjne. To nawiązuje do mojej ciągłej potrzeby zadawania pytań, na które nie da się odpowiedzieć. Próby objaśnienia świata „Alicji w Krainie Czarów” trwają od ponad stu lat i nie przynoszą satysfakcjonujących rezultatów. Albo raczej satysfakcjonująca jest właśnie ta niemożność odczytania przebiegu zdarzeń i sensów, przy jednoczesnym poczuciu, że jest to gdzieś bardzo blisko, jakby w zasięgu myśli, a jednak nie. To, co zdecydowanie mnie nie interesowało, to wierna adaptacja obrazów z powieści, jakby bezwiedna i najczęstsza jako strategia. Zaczęłam rozważać o życiu Alicji z powieści, ale też o życiu Alice Liddel, która była pierwowzorem bohaterki, o wszelkich sytuacjach „poza kadrem”, o tym co się dzieje pomiędzy tymi sytuacjami, do których dopuszcza nas autor. Alicja to też wielość problemów związanych z obecnością osoby w świecie sensu largo oraz w świecie przeżyć wewnętrznych, a brak dosłowności wpływa na interpretacyjny urodzaj. Silna obecność Alicji w masowej wyobraźni wzmacnia te mechanizmy, buduje intertekstualność kolejnych odczytań, co dla mnie jest walorem.



Słowo „Remix” w tytule, jak sama zdradziłaś, oznacza według Ciebie pewną parafrazę oryginalnego tekstu Lewisa Carrolla niż jego adaptację, czy muzycznie też będziemy mieli okazję dobrze się pobawić?

Chyba najłatwiej wytłumaczyć moją strategię pracy z tekstem właśnie za pomocą pojęcia parafrazy, chociaż jest to swojego rodzaju uproszczenie. Co ważne tekst powstawał w ścisłej współpracy z zespołem aktorskim, dzięki czemu to nie jest tylko moje spojrzenie na ten świat, ale także wynik podróży postaci po tym świecie. Muzycznie nie nawiązujemy do tego, co kojarzy się powszechnie z remiksem, ale audiosfera będzie niezwykła, bardzo scalająca przestrzeń. Andrzej Konieczny i Myra-Ida van der Veen pisząc muzykę inspirowali się współczesną muzyką orkiestrową z rozszerzonymi technikami wykonawczymi, nowymi technologiami oraz iluzjami psychoakustycznymi. Ich metody pracy wpływają na świetny efekt, ale też same w sobie są sztuką. Mamy nadzieję, że uda się wydać płytę z muzyką ze spektaklu.

Czy każdy z nas jest trochę Alicją, nierzadko zagubioną w abstrakcyjnej rzeczywistości?

To – nomen omen – bardzo abstrakcyjne pytanie. Trzeba zacząć od tego, że niekoniecznie jest to przedmiot refleksji, ale jeśli już się nim staje, to wszystko zależy od interpretacji. Na pewno Alicja stwarza pokusę takiej generalizacji, bo zagubienie jest doświadczeniem uniwersalnym. Inna sprawa to to, w jaki sposób odbieramy rzeczywistość – czy ona sama w sobie wydaje się abstrakcyjna, czy to może zagubienie sprawia, że czasem bywa tak postrzegana? Nasz spektakl jest adresowany przede wszystkim do widzów nastoletnich. Współpracujemy z grupą ekspertów, uczniów III Liceum Ogólnokształcącego, którzy pozwalają nam weryfikować język i treść spektaklu. Myślę, że oni lepiej odpowiedzieliby na to pytanie, ale na podstawie ich opowieści, chciałabym podkreślić, że „alicjowość”



nie zależy od płci. Jak powiedział jeden z ekspertów: *w gruncie rzeczy niezależnie od płci jesteśmy podobni do siebie, po prostu jesteśmy ludźmi* i ta wypowiedź bardzo koresponduje z tym, co ja sama myślę o bohaterce powieści (i spektaklu) oraz o tym, czy każdy jest trochę Alicją – jest, a może raczej bywa lub bywał. To nie jest cecha permanentna.

Na śniadaniu prasowym w Teatrze Nowym w Poznaniu mówiłaś, że tym spektaklem dążysz do integracji, a nie konfrontacji. Czy wierzysz, że jest to jeszcze możliwe? Na scenie pojawią się dwie Alicje – młodsza i starsza. Wierzysz, że nierzadko zwaśnione i walczące strony konfliktu pokoleniowego mogą się dogadać? Czy Alicja, młoda dziewczyna, to jest właśnie ta osoba, która pozwoli nam wzbić się ponad te podziały?

Nie postrzegam różnych pokoleń jako stron konfliktu. Integrację w tym przypadku można rozumieć dwojako: jako dialog nastoletniości z dojrzałością lub jako akceptację różnic. Bo różnice między pokoleniami oczywiście istnieją, ale nie stawiałabym ich na dwóch biegunach.

W ciągu życia stykamy się z wieloma pokoleniami, to ciekawe, że są one stałe i zmienne jednocześnie – każdy z nas przynależy do swojego od początku do końca, ale raz jesteśmy pokoleniem młodych, potem pokoleniem trzydziestolatków, pokoleniem seniorów itd. Z tego powodu wolałabym mówić raczej o zmiennej pokoleniowej, o jakiejś płynności lub też przepływowości. Nie chcę myśleć opozycjami. Ten spektakl jest też o tym.

Jaka jest Twoja wizja Krainy Czarów? A może raczej: czym jest Twoja Kraina Czarów? Czy bliżej jej do oryginalnych, starodawnych ilustracji Johna Tenniela, surrealistycznych obrazów Salvadora Dalego, a może wykropkowanych wizji Yayoi Kusama? W końcu tyle artystów i artystek sięgało po to dzieło. Co w tym świecie znajdziemy nowego?

Estetycznie spektakl nie nawiązuje do kultowych ilustracji. Z Anią Oramus, scenografką, i Magdą Muchą, kostiumografką myślałyśmy o Krainie Czarów jako odbiciu rzeczywistości znanej nam. Jest to świat, który stopniowo wyłania się z liminalnej przestrzeni: trochę dworca, trochę poczekalni, trochę stacji metra, trochę korytarza. Zatem pozornie normalny świat stopniowo morfuje. Dużą inspiracją była dla nas pływalnia – Alicja na początku swojej przygody płacze, kiedy staje się mniejsza, okazuje się, że pływa w morzu, a to jej łza. U nas morze symbolizuje basen i on stanowi punkt odniesienia dla postaci w scenie procesu. To tam lokujemy wspomnienia zeznających. Nasza Kraina Czarów jest inna od jej znanych reprezentacji, mimo blasku i kolorów przypomina momentami koszmar.



Skąd pomysł, aby zaprosić do teatru kawiarnię Fika Poznań i wspólnie z nią stworzyć ciasteczka, które pojawią się również w samym spektaklu?

Ciasteczka i napój są konstytutywnymi elementem świata Alicji w Krainie Czarów. Teatr, w przeciwieństwie do kina, stwarza możliwość uruchomienia także zmysłu smaku, dlatego zależało mi, żeby ciastka, które Alicja będzie jeść w spektaklu, znalazły się także poza sceną. Jedną z postaci, Walet Kier, w naszej interpretacji jest dworskim cukiernikiem oskarżonym o kradzież ciastek. Nie ma jednak na tę kradzież żadnych dowodów. Co więcej – Walet częstuje publiczność ciastkami na początku przedstawienia. Być może Walet jest sądzony za to, że ktoś inny poczęstował się ciastkiem? Fika słynie z wyjątkowych wypieków i kreatywności, a jej współwłaścicielka, Anna Orendorz, to przy okazji teatrolożka z wykształcenia, dlatego zaprosiłam ich do współpracy. Oczywiście moglibyśmy kupić ciastka gdziekolwiek, zależało mi jednak, by były to wypieki unikatowe, których nie da się kupić, które przynależą tylko do świata Krainy Czarów. Otwartość właścicieli Fiki na to pozwoliła.

Opowiadając o powstawaniu spektaklu, wspomniałaś o współpracy z grupą licealistów, którzy aktywnie uczestniczyli w procesie tworczym. Powiesz coś więcej? Skąd pomysł? Czy było coś, co najbardziej poruszyło Cię w ich odbiorze/reakcji/refleksji?



Reżyserka Zdenka Pszczołowska, fot. Klaudia Krupa

Tak, współtworzyli z nami spektakl licealiści, którzy zgłosili się do projektu jako eksperci. Chciałam, żeby pomogli nam zrealizować przedstawienie komunikatywne dla nich i ich rówieśników. Nie chciałam podejść do młodego odbiorcy w sposób protekcyjny. Ich obecność w zespole realizatorskim wydała mi się więc niezbędna. Wielkie wrażenie zrobiła na mnie odwaga, otwartość, zaangażowanie i pomysłowość licealistów. Potwierdziła się też moja intuicja, że osoby wkraczające w dorosłość mierzą się z podobnymi wyzwaniem jak dorośli. Problemem jest raczej to, że młodzi często nie są traktowani poważnie.

Czy wpadnięcie do Króliczej Nory utożsamiasz ze zderzeniem młodego człowieka z realiami dorosłego świata?

Nie myślałam o tym w ten sposób, chociaż może być to kusząca perspektywa interpretacyjna. Dla mnie jednak jest niewystarczająca – upraszcza to, co jest niezwykle skomplikowane, niewytłumaczalne, wymagające ciągłej refleksji i uwagi. Nie zadaję sobie pytania o to, czym jest wpadnięcie do Króliczej Nory. Robiło to wiele osób przede mną. Mnie bardziej ciekawi świat w tej Norze.

Wspomniałaś również, że „Alicja w Krainie Czarów. Remix” to będzie jazda, ale bezpieczna, trzeba będzie zapiąć pasy? Z czym widz wyjdzie ze spektaklu? Co zadzieje się w jego wnętrzu?

To, z czym wyjdzie widz ze spektaklu zależy od wielu zmiennych. Nam zależało na zadaniu pytań o kondycję młodego człowieka wkraczającego w dorosłość, o potrzebę przynależności oraz o to, co ta potrzeba nam przysłania (np. kwestie społeczne). Spektakl jest intensywny, zabawny, momentami przerażający, ale samego odbioru nie programuję, więc zapraszam do samodzielnego doświadczenia.

Spektakl zobaczycie 16, 17, 18, 19 maja na Scenie im. Tadeusz Łomnickiego w Teatrze Nowym im. Izabelli Cywińskiej w Poznaniu o godz. 19

wywiad



Witaj na „Avenue Q”. Jesteś u siebie!

Hitowy musical z Broadwayu na deskach Teatru Muzycznego w Poznaniu

Na Avenue Q krzyżują się drogi wszystkich tych, którym życie mówi bolesne „sprawdzam”, a z konfrontacji marzeń i planów z rzeczywistością zostają jedynie rozczarowanie i narastająca frustracja. Brzmi znajomo? Witaj na „Avenue Q”! Tu jesteś u siebie.

Mocne, dwuznaczne żarty, zaskakujące puenty i...lalki w rolach głównych – „Avenue Q”, najnowszy musical w repertuarze Teatru Muzycznego w Poznaniu, może zaskoczyć. To odważna, niegrzeczna, w wielu miejscach niecenzuralna, ale przede wszystkim bardzo zabawna komedia: o naszych uprzedzeniach, głęboko tkwiących w głowach stereotypach i chowanych za tzw. „polityczną poprawnością” – niepoprawnościach. O tym wszystkim lalkowi bohaterowie „Avenue Q” mówią szczerze i wprost. To także uniwersalna opowieść o codziennych problemach pokolenia wkraczającego w dorosłość: bolesnym zderzeniu z rzeczywistością, niedoganianiu marzeń, o trudnych relacjach, poszukiwaniu miłości i akceptacji, o sile przyjaźni...

Historie prawdziwe

– Wokół tego spektaklu narosło wiele mitów: że jest wulgarny, niegrzeczny, że mnóstwo jest w nim kontrowersyjnych, wrażliwych treści. A są w nim przedstawione historie, które wydarzyły się naprawdę – mówi Łukasz Brzeziński, reżyser. – Historie, które opowiadamy w spektaklu bazują na wydarzeniach z życia autorów musicalu i ich znajomych, to są wszystko wydarzenia prawdopodobne, które miały miejsce – tłumaczy. I podkreśla: – Zależało mi przede wszystkim na tym, by to było mądre przedstawienie. Nie chciałem eksponować kontrowersyjnych treści. Chciałem, by widz wyszedł z teatru z refleksją.

Świeżo upieczony absolwent prestiżowej uczelni, bez pracy i perspektyw, trafia do najtańszej dzielnicy w mieście. Spotyka tam równie życiowo niezorganizowanych współlokatorów: przedszkolankę, która marzy o założeniu własnej szkoły; geja-prawicowca, ukrywającego swoją seksualność i jego biednego kumpla; komika, którego żarty nikogo nie śmieszą i jego wietnamską żonę – psychoterapeutkę bez pacjentów. Jest jeszcze dozorca z aktorską przeszłością. Razem tworzą barwny, społeczny tygiel.

Nadzieja na lepsze jutro

Barbara Olech, autorka choreografii: – Mimo, że od premiery „Avenue Q” na Broadwayu minęło ponad 20 lat, spektakl opowiada o problemach,



Fot. Dawid Stube

które są cały czas aktualne. Przekazane prosto, zabawnie, dynamicznie. Najważniejsze w spektaklu są lalki i ich połączenie z postaciami żywo-planowymi. Dzięki temu zabiegowi mamy poczucie, że tematy, które poruszamy, te „grube” żarty, które płyną ze sceny, przez warstwę lalki przechodzą na miękko i spektakl dzięki temu jest zabawniejszy.

Dariusz Tarczewski, kierownik muzyczny: – Całość osadzona jest w muzyce, która mocno kojarzy się zarówno z programami typu „Ulica Sezamkowa” czy „Muppet Show”, jak i z tradycyjnym stylem produkcji Złotej Ery musicalu. Melodyjne tematy nonszalancko niosą teksty naszpikowane zgryźliwością, pikanterią, erotyzmem, ale także nadzieją na lepsze jutro. Kameralny skład muzyczny prezentuje muzykę, która korzysta zarówno z tradycyjnego jazzu, muzyki kabaretowej oraz pop w stylu lat 80.

Za wizualną stronę spektaklu odpowiada poznańska Grupa Mixer.

– „Avenue Q” to historia ludzi, którzy skończyli studia, wynajmują pierwsze pokoje, startują w dorosłe życie i te starty bywają różne – mówi Dorota Gaj-Woźniak z Grupy Mixer. – W koncepcję scenografii jest wpisana pewna tymczasowość. Dlatego stworzyliśmy ją z elementów recyklingowych, zbiorników mauzer. Reżyser dał nam zielone światło, że możemy myśleć abstrakcyjnie – tłumaczy.

Dziewięć lalek, które grają główne role w musicalu, zaprojektował i wykonał Igor Fijałkowski, aktor Teatru Animacji w Poznaniu. Całość dopełniły kostiumy Katarzyny Zawal, światła w reżyserii Katarzyny Łuszczyk i dźwięk Tomasza Zajmy.

„Avenue Q”,

reż. Łukasz Brzeziński, Teatr Muzyczny w Poznaniu,

premiera: 8.02; kolejne spektakle: 16–24.05,

szczególne i informacje o biletach: www.teatr-muzyczny.pl

Najtisy wiecznie żywe

Autor: Tomasz Żaglewski

Zdjęcia: M. Kaczyński

GAME BOY pocket

Nintendo



A

B



SELECT START



Widmo lat 90. wciąż krąży nad Polską. Owa zjawia ma dwa oblicza. Jedno z nich to niekończące się spory polityczne i ideologiczne na temat spuścizny III RP, transformacji ustrojowej, mitologii Okrągłego Stołu, narracji o „zdrajcach” i „zdradzanych”, a także bezrobotnych i zwyczajnie odrzuconych w trakcie kapitalistycznej rewolucji, jaka dokonała się po 1989 roku. Ale duch lat 90. ma też inną twarz, która zamiast wpatrywać się w archiwa, kieruje swój wzrok ku postępującej na całym świecie retromanii i nostalgii za minioną dekadą, której przebliski możemy także obserwować w Polsce, wśród miłośników i miłośniczek starych komiksów czy kaset wideo.

Popkulturowość lat 90. w Polsce to zjawisko wbrew pozorom trudne do jednoznacznego zdefiniowania. Z jednej bowiem strony, wraz z przyłączeniem Polski do globalnego systemu przepływu dóbr i atrakcji popkulturowych, nadwiślański kraj zalały wzbierające fale niosące ze sobą zabawki, kasety, kolorowe czasopisma czy gry wideo, pozwalające wreszcie polskiej młodzieży być w miarę „na bieżąco” z globalnymi trendami i modami. Z drugiej strony jednak, szczególnie dziś dziwić może specyficznie lokalny charakter ówczesnego adaptowania globalnych fenomenów, zderzający połysk zachodnich produktów z postPRL-owską prząsnością. Po amerykańskie komiksy o superbohaterach z wydawnictwa TM-Semic chodziło się zatem do swojskiego kiosku „Ruchu”, gdzie poszerzająca się oferta kolorowej prasy dla młodzieży przedzierała się przez zastępy tradycyjnej, i często wyraźnie mniej krzykliwej na poziomie formy i treści, prasy. Kasety wideo – ilustrujące większe niż życie eskapady ekranowych nadludzi, zamieszkujących pełne przepychu fantazyjne światy – kusząco spoglądały na swych przyszłych widzów i widzki z naprędcie montowanych regałów i szafek, podpierających się o ściany osiedlowych wypożyczalni. Te ułożone były często w dość nieoczywistych miejscach, jak piwnice, garaże czy lokalne pijalnie piwa. Zaskakującym punktem na mapie wszystkich melomanów stawały się bazarki i rynki, gdzie na maskach samochodów udekorowanych domowym kocykiem, piętrzyły się rzędy kaset magnetofonowych. Podobnie gracze i graczki – rządni roz(g)-rywki „Mortal Kombat” na dedykowanym automacie do gier – musieli się



zapuszczać w mniej ekskluzywne rejony miejskich dworców lub jarmarcznych straganów, gdzie swoje podwoje otwierały, dość szumnie brzmiące w polskich realiach, salony gier. No i oczywiście zabawki – te wszystkie Barbie, Transformersy, Żółwie Ninja i Batmany – które wreszcie można było podziwiać i ewentualnie nabyć poza sklepami walutowymi, ale które musiały konkurować na sklepowej półce z zastępem produktów gospodarczych, w które także wyposażone były sklepy wielobranżowe i domy towarowe.

Ten specyficzny rozkrok pomiędzy kolorowymi treściami, a jeszcze wciąż nie do końca równie barwnymi realiami lat 90. (szczególnie w ich początkowej fazie) jest tym, co osobiście najszybciej przychodzi mi do głowy, kiedy pada hasło „popkultura w Polsce lat 90.,” które stanowi jednocześnie podtytuł otwierającej się w Centrum Kultury ZAMEK w Poznaniu wystawy „Najntisy Forever!”. Mamy bowiem do czynienia z dość dwuznaczną naturą lat 90., kiedy staramy się uchwycić ówczesną perspektywę dziecka lub nastolatka. Dla kilkuletniej bądź kilkunastoletniej osoby z tamtych lat to ewidentnie ta bardziej ubarwiona, ale też często kiczowata twarz ostatniej dekady XX wieku stanowi podstawowy punkt refleksyjnego odniesienia. Trudno dopatrzeć się tu ekonomicznej czy politycznej szarości tamtych czasów, skutecznie zwalczanej przez drużynę zebraną z zabawkowych kucyków Pony, pikselowego hydraulika Mario, telewizyjną parę Chipa i Dale’a oraz Johna Rambo, przybywającego z odświeżką wprost z kaset VHS. W takiej perspektywie poważne lata 90. stają



się frywolnymi najntisami, co wcale nie umniejsza często bardzo osobistych doświadczeń i wspomnień dzisiejszych 30- i 40-latków.

Czy jednak najntisy faktycznie są wobec tego wieczne? Czy naoczni świadkowie i świadkinie tamtych wydarzeń (ale i pokolenia młodsze) chcą faktycznie powracać do tej specyficznej w swej postaci przeszłości? Niewątpliwie w ostatnim czasie nostalgia stała się jedną z najpewniejszych walut, jeśli chodzi o podtrzymywanie zainteresowania globalnej publiczności. Na ekrany kinowe powracają serie filmowe i aktorskie ikony sprzed lat, kultowe komiksy zyskują swoje (często już któreś z kolei) reedycje i wznowienia, zabawki pojawiają się na sklepowych półkach w ekskluzywnych opakowaniach retro (mających już wyraźnie kusić nie dzieci, ale ich rodziców), zaś kasety magnetofonowe i szeroko rozumiany sprzęt grający, na czele z najwidoczniej nieśmiertelnym, walkmanem znów są towarem pożądanym. Dla wielu komentatorów i komentatorek dzisiejszej rzeczywistości (pop)kulturowej ta wspomniana retromania stanowić ma mechanizm obronny wobec postępującej złożoności i niepewności obecnych czasów. Nostalgia – mówiąc prościej – staje się tym przyjemnym kocikiem, w jaki lubimy otulać się, śledząc aktualne wydarzenia. Producenci treści chętnie pomagają nam doszywać kolejne kawałki do naszej sentymentalnej narzutki, mające w domyśle zapewnić nam bezpieczną przystań przed przytłaczającymi często informacjami i wyzwaniem. Ale ten pęd ku nostalgii może mieć także i inną funkcję.

Sz szczególnie dla osób pamiętających jeszcze świat sprzed cyfrowej rewolucji, melancholijne zapuszczanie się w najntisy – jako ostatnią dekadę o mocno analogowym charakterze – uznać można także za chęć choćby i chwilowego powrotu do innego, bardziej namacalnego wariantu przeżywania i celebrowania kultury – także w wersji pop. W szorstkości komikсового papieru, szmerach magnetowidu lub magnetofonu, rozpielowanej grafice starych gier czy trzaskach, jakie wydaje z siebie zabawka, zaklęty jest być może faktyczny urok najntisów – tym bardziej wyjątkowy w polskim kontekście, iż będący de facto pierwszym okresem nieograniczonego konsumowania tych przyjemności.

Wystawa „Najntisy Forever!” to próba przypomnienia tamtych wrażeń – nie z potrzeby czystego eskapizmu, ale raczej chęci udowodnienia, że tematyka retro ma w sobie, wbrew pozorom, całkiem sporo życia.

„Najntisy Forever!

Popkultura w Polsce lat 90.”

22.03.–27.07.2025

Wystawa czynna: wt.–niedz. g. 12-20

Centrum Kultury ZAMEK w Poznaniu

Bilety: 20 zł (ulgowy), 25 zł (normalny)

CENTRUM
KULTURY
ZAMEK



NOC MUZEÓW

17.05.2025



ESTRADA
POZNAN
SKA

POZnań*



Muzeum Narodowe
w Poznaniu

[NOCMUZEOW.POZNAN.PL](https://nocmuzeow.poznan.pl)



Poznański Festiwal Sztuki Komiksowej 2025

Promocja czytelnictwa i rozwijanie świadomości artystycznej

Autor: Józef Śliwiński

Kiedyś kojarzony głównie z super bohaterami i gazetowymi paskami, dziś uznawany za pełnoprawną formę sztuki – komiks od lat wykracza poza granice tego, z czym się go powszechnie utożsamia. Tegoroczna edycja Poznańskiego Festiwalu Sztuki Komiksowej po raz kolejny udowodni, że medium to może zaskakiwać, uczyć i inspirować. Przy okazji zbliżającego się festiwalu, zamieniliśmy kilka zdań z jego organizatorem, Aleksandrem Gniotem.

Festiwal z tradycją

Narodziny festiwalu to efekt wieloletniej pasji do komiksu i jego popularyzacji w Polsce. Jego początki sięgają 2014 roku. Wtedy to ówczesny wicedyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej w Poznaniu – Aleksander Gniot, korzystając z potencjału biblioteki i czytelnicy organizował pierwsze wydarzenia. Należały do nich m.in. Dzień Darmowego Komiksu czy Comics Wars. Z czasem doszły jeszcze m.in. Dni Batmana czy Super Kobiet. – W 2018 roku, rozpoczynając moją pracę w BUP, przejąłem pieczę nad wszystkim, co było związane z komiksami, reorganizując jednocześnie kalendarz imprez. Zrezygnowałem z kilku małych wydarzeń rozsianych po całym roku na rzecz jednego dużego. W ten sposób DDK przekształcił się w Poznański Festiwal Sztuki Komiksowej, w programie którego da się też odnaleźć elementy pozostałych, wcześniej organizowanych imprez. Prócz festiwalu, odbywającego się obecnie w kwietniu, w kalendarzu pozostało jeszcze jesienne 24-godzinne rysowanie komiksów – mówi nam Aleksander Gniot.

Czym wyróżnia się PFSK?

Czym wyróżnia się PFSK? Przede wszystkim unikalnym połączeniem popularyzacji komiksowej dziedziny i naukowym zapleczem – to jedyny festiwal w Polsce z konferencją naukową poświęconą badaniom nad komiksem. Jej głównym organizatorem jest zresztą Michał Traczyk, redaktor naczelny „Zeszytów Komiksowych” – jedynego popularnonaukowego periodyku, ukazującego się w Polsce.

Misja PFSK

PFSK ma na celu promocję czytelnictwa i rozwijanie świadomości artystycznej, zarówno tej wizualnej, jak i czytelniczej oraz kulturowej. – Za-

leży nam na pokazywaniu oraz uczeniu czerpania w pełni z bogactwa i różnorodności komiksowej formy. Chcemy przeciwdziałać popularnym, obiegowym i nieprawdziwym opiniom na temat komiksu, a także prezentować najważniejsze wydarzenia i artystów związanych z szeroko rozumianą narracją graficzną. Zależy nam również na promocji niezależnych inicjatyw oraz młodych twórców – mówi nam organizator festiwalu.

Darmowe komiksy, wsparcie dla młodych

Ponadto uczestnicy mogą liczyć na ok. 40-50 komiksów, które rozdawane są całkowicie za darmo w liczbie ok. 8000 egzemplarzy. Zamiast celebrować mega gwiazdy, organizatorzy stawiają na różnorodność i prezentację szerokiego spektrum twórców, w tym młodych, niezależnych artystów. Festiwal wspiera ich, organizując spotkania, udostępniając miejsce w strefie targowej oraz publikując ziny.

Atrakcje dla najmłodszych i weteranów sceny!

W programie nie zabraknie wystaw, warsztatów, spotkań autorskich, paneli dyskusyjnych, konkursów, giełdy komiksowej, gry miejskiej oraz strefy autografów. Festiwal jest otwarty dla wszystkich – zarówno dla tych, którzy dopiero odkrywają komiksowy świat, jak i dla wieloletnich pasjonatów. Każdego roku wydarzenie przyciąga fanów komiksu z całej Polski, a nawet gości z zagranicy.

PFSK to efekt pracy grupy doświadczonych organizatorów, którzy mimo wieloletniego doświadczenia nadal działają w ramach wolontariatu. – Festiwal nie jest imprezą generującą przychody. Wszystko dla wszystkich jest za darmo, a to oznacza, że pieniądze, które udaje się pozyskiwać (i których zawsze jest za mało), przeznaczone są na wszystko z wyłączeniem honorariów – mówi Aleksander Gniot.

Nie przegap tego wydarzenia!

Poznański Festiwal Sztuki Komiksowej naturalnie się rozrasta, zajmując coraz więcej przestrzeni na kulturalnej mapie wydarzeń naszego miasta. Każda edycja generuje nowe wyzwania, ale i ogromna satysfakcja dla organizatorów, którzy po miesiącach przygotowań odbierają najlepszą zapłatę za swoje zaangażowanie – radości uczestników. – Kiedy ludziom podoba się to, co przygotowaliśmy, żadna praca nie wydaje się ciężka. Tej na szczęście nigdy nie brakuje – kończy Aleksander Gniot. Przyjdź i przekonaj się sam, jak bogaty jest świat komiksu!

**10–13.04.2025, Biblioteka Uniwersytecka w Poznaniu,
ul. Ratajczaka 38/40**

wydarzenie

Londyn,

Paryż,

Nowy Jork,

...Poznań

FRESHART

Rozmawiała: Marynia Tuliszką-Nowacka

Zdjęcia: Tomasz Nowicki





Helenę Minginowicz znam od lat. To ogromna przyjemność móc towarzyszyć artystce oraz obserwować jej niesamowity rozwój, no i – co tu dużo mówić – podbój świata. Helena mieszka i tworzy w sercu Poznania, skąd też ma idealny punkt obserwacyjny (nie tylko gołębi – ale o tym dalej). Artystka z czułością i uwagą przygląda się zwyczajnym elementom codzienności. W swoim malarstwie porusza tematy relacji międzyludzkich na różnych płaszczyznach, ożywia niepozorne byty, tworząc bajkowy mikroświat. Swoje prace prezentowała w ramach wystaw indywidualnych i zbiorowych, m.in. w Londynie, Paryżu, Salonikach, Genui, Mediolanie.

Pięć lat temu, w nieistniejącym już Peryskopie, miałyśmy pierwszą wspólną współpracę przy wystawie „O gwizdach”. Natomiast w zeszłym roku tworzyłyśmy razem wystawę i artbooka dla poznańskiego festiwalu Bitter Sweet. Ile wydarzyło się przez te 5 lat?



Czy możesz krótko opisać ostatnie 5 lat swoich artystycznych bojów? Gdzie był ten punkt zwrotny?

Właściwie punktem zwrotnym był powrót do malarstwa, a potem ta pierwsza wystawa w Peryskopie.

Najpierw rysowałam, a potem zaczęłam regularnie malować. Mam nawet do dzisiaj swój pierwszy „poważny”, podpisany rysunek, który przetrwał wszystkie burzliwe czasy i przeprowadzki.

Już w liceum plastycznym było to dla mnie dosłownie wszystkim. W połowie nauki dopadł mnie rodzaj kryzysu, zawodu, rozczarowania – chociaż to nie sztuka mnie zawiodła. Trwało to trochę. Podczas studiów na UAPie odzyskałam entuzjazm twórczy. Potem działo się w moim życiu osobistym bardzo wiele, i siłą rzeczy praca twórcza przeniosła się trochę na dalszy plan. Cały czas była obecna, ale ja nie umiałam jej jeszcze na nowo ukierunkować. Próbowałam różnych mediów.

W jakimś momencie intuicyjnie zaczęłam wracać do malowania. Zrozumiałam, że bez niego brakowało mi języka. Tego pierwszego, który dobrze znałam, i którym dawniej posługiwałam się tak naturalnie. Dotarło do mnie, że jestem w zasadzie „niema” od kilku lat. Jakbym po drodze coś zgubiła albo straciła.

Zaczęłam malować, bez specjalnej okazji – tak po prostu dla siebie samej. To było niesamowite uczucie. Któregoś dnia moja przyjaciółka, widząc leżące gdzieś na stole malarskie szkice, zapytała, dlaczego nie maluje więcej, gdyż zauważyła, to jest właśnie mój „język” i proces. Zszokowała mnie jej obserwacja, bo sądziłam, że wszystko gdzieś tam po drodze zaprzepaciłam i może nie mam szans powrotu do dawnej kondycji. Zapamiętałam jej emocje i dało mi to dodatkową śmiałość i napęd do pracy.

Kolejnym bodźcem była Twoja propozycja wystawy – potem nie mogłam już przestać – i to właściwie było najważniejsze. Jakbym wróciła do domu po 100 latach. (śmiech)



Tak szczerze, to w ilu miastach zagości Twoja sztuka w najbliższym czasie?

W tym momencie plan obejmuje Brukselę, Paryż, Warszawę, Nowy Jork, Madryt – zobaczymy co jeszcze się wydarzy.



„Moje prace to spotkanie tego, co kruche, z tym, co trwałe”

Masz wspaniały cykl prac na ręcznikach papierowych, których zawsze każdemu brakuje w kuchni. Jak to jest z tym malarstwem na materiałach nietrwałych?

Dzięki, miło to słyszeć. A co do ręczników, to prawda. (śmiech) Dlatego zazdrośnie chowam swoje ulubione ręczniki przed domownikami. (śmiech)

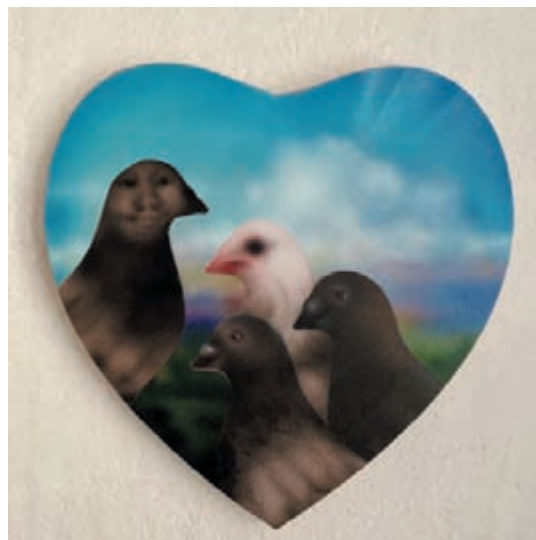
Z materiałami nietrwałymi jest trochę jak z przyjaźnią z gąsienicą. (śmiech) Tak mi to przyszło do głowy – ale w sumie coś w tym jest. Trwałość i nietrwałość, zwłaszcza w kontekście naszego istnienia i czasu – zarówno tego obiektywnego, jak i tego, który nam przypadał (nigdy nie wiadomo, ile go mamy). To dla mnie ważny temat. Zauważyłam, że jako ludzie, mocno trzymamy się idei trwałości. Szukamy stałych punktów, próbujemy się zakotwiczyć, a to, co nietrwałe, często traktujemy jako mniej ważne – jakby tylko to, co trwa, miało prawdziwą wartość. A co jeśli jest odwrotnie? Jeśli te najbardziej ulotne chwile, te, które pomijamy, są właśnie tymi najistotniejszymi? Może nietrwałość nie oznacza braku wartości? Może to, co postrzegamy jako skończone, wcale takie nie jest? W końcu nawet pojęcia fundamentalne, jak wolność, pokój czy piękno, nieustannie się zmieniają – nie są raz na zawsze określone, tylko płynne, zależne od kontekstu.

Moje prace to spotkanie tego, co kruche, z tym, co trwałe. Łączę ulotne, łatwo niszczone materiały z monumentalnością klasycznego malarstwa, eksplorując napięcie między pięknem a jego nietrwałością. Codzienne, jednorazowe przedmioty – papierowe ręczniki, plastikowe torby, maseczki – są zaprojektowane do szybkiego zużycia i zapomnienia, a jednak ich ulotność nadaje im siłę. Paradoksalnie, właśnie to, co tymczasowe, najmocniej skłania mnie do refleksji. Rozczuła.

Zastanawiam się, ile piękna tracimy przez rutynę, automatyzm, konsumpcję. Ile rzeczy umyka nam tylko dlatego, że są zbyt zwyczajne, byśmy je dostrzegli? Detale – drobne ozdoby, kolory, zabawne zwierzątka na jednorazowych opakowaniach – giną w niepamięci, bo same przedmioty są skazane na szybkie zapomnienie. Ich tymczasowość staje się metaforą tego, jak ignorujemy własną kruchość – coś, co świat często spycha na margines.

Sięgam po materiały, które są ulotne, ale mówią o czymś większym. Bo co właściwie jest trwałe? Czy nasze wartości – wolność, komunikacja, indywidualność – naprawdę są nienaruszalne? A może są równie kruche jak papierowy kubek, który wyrzucamy po jednym użyciu?

Moje prace balansują na granicy tego, co wysokie i niskie. Klasyczne malarstwo spotyka się tu z popkulturą, renesansowe motywy z memami i typografią z opakowań owoców. Fascynuje mnie codzienność – surowa, nieprzetworzona, pełna drobnych detali, które często umykają uwadze. Szczególnie interesują mnie masowo produkowane przedmioty – tan-detne, niedoskonałe, z widocznymi wadami. Właśnie te rzeczy, skazane na wyrzucenie, mają w sobie coś, co mnie porusza. I to one często stają się punktem wyjścia dla mojej sztuki.





„Jesteśmy tutaj, żeby faktycznie pomóc”

Fundacja Niepodzielni
– w walce o zdrowie psychiczne

Rozmawiała: Dominika Majewska

Zdjęcie: Julia Szczesnowska

W świecie, gdzie tak łatwo zostać samemu ze swoimi problemami, Fundacja Niepodzielni tworzy przestrzeń dla tych, którzy potrzebują wsparcia. Działają w Poznaniu, pomagając osobom w kryzysie psychicznym i życiowym, pokazując, że nikt nie powinien mierzyć się z trudnościami samotnie. O ich codziennej pracy, wyzwaniach i wartościach, które im przyświecają, rozmawiamy z Martą Kurasz, prezeską fundacji, oraz Karoliną Zawadzką, członkinią zespołu.

Jak narodził się pomysł fundacji? Skąd wzięła się potrzeba jej stworzenia?

Marta Kurasz: Sama cierpię na depresję i choć dziś wiem, jak sobie z nią radzić, zawsze jest we mnie lęk, czy nie wróci. Wszystko zaczęło się właśnie od niej – śmieję się, że chociaż jakiś pożytek z tej depresji był i coś dobrego z tego wyniknęło. Przed Niepodzielnymi pracowałam w marketingu, ale czułam, że czegoś mi brakuje. Gdy wybuchła wojna w Ukrainie, razem z ciotką założyłyśmy zbiórkę. Z czasem zaangażowała się w nią moja rodzina, później cała miejscowość Skórzewo i Poznań. Ostatecznie zarządzałam trzema domami dla mam z dziećmi, organizowałam transporty do Danii i Niemiec. Wzięłam urlop na tydzień, potem na kolejny, aż w końcu rzuciłam pracę – czułam, że pomoc innym daje mi więcej sensu niż cokolwiek innego. Czułam, że mogę góry przenosić. Kiedy już sytuacja nieco się ustabilizowała i widziałam, że te kobiety dają sobie radę i wychodzą na prostą, znów poczułam, że moje życie nie ma aż takiego sensu. Moja depresja znów dała o sobie znać i postanowiłam, że pora wrócić na terapię. Ale rzuciłam przecież pracę, która dawała mi przychód i miałam problem – jak teraz za to wszystko zapłacić? Niestety psycholog lub psychoterapeuta to był dość duży koszt dla mnie w tamtym momencie. No i zapisałam się na Narodowy Fundusz Zdrowia, z którym niestety nie miałam pozytywnych doświadczeń. Wtedy pomyślałam, że mam już tyle kontaktów i doświadczenia w organizowaniu pomocy, że mogę zrobić coś większego – i tak powstała Fundacja Niepodzielni.

Niesamowite, że z tylu negatywnych doświadczeń powstało coś tak dobrego. Jest już pomysł, idea, ale to nie wszystko. Jak wyglądały początki Waszej działalności? Co było najtrudniejsze?

M: Miałymy psycholożkę, która pomagała kobietom z Ukrainy, a dla mnie bardzo ważne było zapewnienie im psychologa. Większość z nich była przerażona – w Ukrainie temat zdrowia psychicznego jest kilka lat za Polską, a nasz kraj i tak jest kilka lat za Zachodem. W mniejszych miejscowościach wciąż panuje przekonanie, że korzystanie z pomocy psychologa oznacza, że coś jest z człowiekiem nie tak. Pomyślałam wtedy: musimy coś z tym zrobić.

Zacząłam zastanawiać się, jak połączyć wsparcie psychologiczne dla potrzebujących z pomocą młodym psychologom, którzy często mają problem z rozpoczęciem pracy w zawodzie. Początkowo chcieliśmy oferować całkowicie bezpłatne konsultacje, ale pojawił się problem – ludzie zapisywali się, ale nie przychodzili. Musieliśmy podejść do tego psychologicznie i znaleźć rozwiązanie. Wprowadziliśmy symboliczną opłatę 55 zł, nie tylko aby fundacja mogła się rozwijać, ale także zmotywować do przychodzenia na umówione spotkania. Zwiększyć zaangażowanie. Mimo

W mniejszych miejscowościach wciąż panuje przekonanie, że korzystanie z pomocy psychologa oznacza, że coś jest z człowiekiem nie tak. Pomyślałam wtedy: musimy coś z tym zrobić

wszystko 40% naszych podopiecznych nadal korzysta z pomocy za darmo. Jeśli ktoś naprawdę nie ma środków – jesteśmy tu po to, by pomóc. Wsparcie psychologiczne powinno być dostępne dla każdego, a nie traktowane jako luksus. Tak to wszystko zaczęło działać.

Jeśli chodzi o trudności to największym problemem początkowo były na pewno finanse. Studiowałam w Wielkiej Brytanii i tam też pracowałam, więc miałam trochę oszczędności. Chciałam przeznaczyć je na coś innego, ale wyszło jak wyszło. Zainwestowałam po prostu w fundację, więc pierwszy rok był bardzo ciężki, bo to wszystko szło po prostu z mojej kieszeni. Chciałam żeby to ruszyło. No i teraz jest dobrze, fundacja się rozwija, ale nie ukrywam, jest problem, że nie ma wsparcia od miasta, od państwa. Na ten moment, wszystkie nasze projekty, wszystkie działania są tylko i wyłącznie naszą inicjatywą.

Myślę, że była to inwestycja, za którą wiele osób jest wdzięczna. Jeśli chodzi o działania fundacji, to co obecnie znajduje się w ofercie Niepodzielnych?

Karolina Zawadzka: Prowadzimy konsultacje psychologiczne – niskopłatne i pełnopłatne – stacjonarnie w Poznaniu oraz online. Niskopłatne za 55 zł, pełnopłatne od 125 zł do 145 zł w zależności od kwalifikacji i doświadczenia specjalisty. Prowadzimy terapię par. Także konsultacje z asystentami zdrowienia za 37 zł, projekt PsychON, różne warsztaty i grupy wsparcia. Mamy teraz też dwie takie aktywne grupy wsparcia. Jedna jest dla osób doświadczających samotności i druga dla osób z depresją – obie działają online. Teraz też będziemy ruszać z otwarcie nowej dla osób z ADHD, które również od niedawna diagnozujemy.



Fot. Marta Kurasz

A propos diagnozowania ADHD, opowiedz o tym trochę więcej. Ostatnio coraz więcej osób się diagnozuje i jest to coraz głośniejszy temat. Czy zgłaszały się do Was osoby, które potrzebowały takiej diagnozy? Jak to wszystko wyszło i jak to funkcjonuje?

K: U nas ten pomysł pojawił się rzeczywiście dlatego, bo dużo osób w tej sprawie pisało. Chcieli mieć rzetelną diagnozę ADHD, którą później będą mogli okazać u psychiatry. Z ADHD kojarzą nam się często dzieci a są pomijane osoby dorosłe, które na co dzień zmagają się z różnymi trudnościami np. problemami ze skupieniem czy ułożeniem swoich myśli. Teraz ludzie rzeczywiście mają większą świadomość tego zdrowia psychicznego, dlatego jest duże zainteresowanie tymi diagnozami i wyszliśmy temu naprzeciw. Przeprowadzają ją u nas trzy psycholożki i jest to proces składający się z czterech spotkań. Pierwsze spotkanie zawsze to jest taki kwestionariusz przesiewowy i tam jest taka wstępna ocena tych objawów. Później na drugim, trzecim spotkaniu jest już praca z kwestionariuszem DIVA-5. Czwarte spotkanie jest zawsze z jakąś osobą bliską dla diagnozowanej osoby. Może być to osoba partnerska, rodzic, rodzeństwo, kto jest najbliższy. I u nas po takim właśnie procesie, psycholog wystawia opinię i już później z nią można udać się do psychiatry, który ocenia, czy wsparcie farmakologiczne jest potrzebne czy nie. Koszt takiej diagnozy wynosi u nas 750 zł, ale można rozłożyć to na trzy raty lub odroczyć taką

płatność. I tak to u nas wygląda. Myślimy też nad wprowadzeniem diagnozy spektrum autyzmu, bo też dużo osób nas o to pyta. To jest jeszcze w trakcie, bo my mamy dużo pomysłów, a trochę też potrzebujemy czasu.

Istotne jest, że ADHD niestety lubi chodzić parami i często występuje z zaburzeniami współistniejącymi, na przykład z depresją, czy z zaburzeniami lękowymi. Niejednokrotnie dopiero przy tych objawach ktoś stwierdza, że czas poszukać pomocy. Jak już wcześniej mówiłyśmy, zdrowie psychiczne to nadal jest pewien temat tabu w naszym kraju. Co według Was powinno zmienić się w systemie wsparcia społecznego w Polsce, by osoby potrzebujące miały realnie lepszą sytuację?

M: Kluczową zmianą powinna być likwidacja bariery finansowej, aby każdy mógł pozwolić sobie na pomoc psychologiczną. Mimo że w dużych miastach, takich jak Poznań, dostęp do wsparcia psychicznego wydaje się oczywisty, w mniejszych miejscowościach i na wsiach temat zdrowia psychicznego wciąż jest owiany tabu. Niezbędne są działania edukacyjne oraz zwiększenie dostępności bezpłatnej lub przystępnej cenowo pomocy specjalistycznej.

K: Dodatkowym problemem jest niewydolność systemu NFZ. Marta sama mówiła o tym, że nie ma zbyt dobrych wspomnień z tym związanych. Na NFZ można czekać latami i nie dostać odpowiedzi. Ja kiedyś miałam taką sytuację, że żadnej nie dostałam. I też nie chciałabym demonizować, bo wierzę, że w NFZ pracują też dobrze specjaliści, tylko że... trudno na nich trafić. Nie chcę robić takiej reklamy, ale myślę, że u nas łatwiej trafić na dobrego specjalistę, bo u nas rzeczywiście bardzo sprawdzamy te osoby, które do nas dołączają. Dla nas jest ważne, żeby nasi specjaliści byli otwarci oraz inkluzywni. Wiadomo, to jest praca, ale też szukamy takich osób z powołaniem, które chcą działać.

A czy przez te kilka lat prowadzenia Niepodzielnych, zauważyliście zmianę w postrzeganiu zdrowia psychicznego w Poznaniu, ale i w Polsce?

M: Tak, zdecydowanie. Choć może to być również efekt naszej bańki informacyjnej, jako że żyjemy w dużym mieście. Na pewno można zauważyć rosnącą ciekawość i otwartość ludzi na tematy związane ze zdrowiem psychicznym. Coraz więcej osób interesuje się tą kwestią, co prowadzi do stopniowej zmiany postrzegania i większej akceptacji dla osób zmagających się z różnymi trudnościami. Dzięki temu że konsultacje w 95% są online, mamy szansę dotrzeć do większej ilości osób w Polsce i na świecie.

K: Ja też tak uważam, bo samo takie zainteresowanie już jest jakimś krokiem w stronę pójścia po pomoc. I ludzie rzeczywiście coraz częściej interesują się psychologią, coraz częściej czytają. Ma to też jakieś zagrożenia, że będzie zbyt dużym uproszczeniem różnych tematów, czy właśnie takie tworzenie trochę "pop psychologii". Ale ja rzeczywiście widzę, że

Na pewno można zauważyć rosnącą ciekawość i otwartość ludzi na tematy związane ze zdrowiem psychicznym – coraz więcej osób interesuje się tą kwestią, co prowadzi do stopniowej zmiany postrzegania i większej akceptacji dla osób zmagających się z różnymi trudnościami

kiedyś była większa ta stygmatyzacja. My się obracamy w Poznaniu i żyjemy trochę w tej takiej bańce otwartości. Do nas piszą różni ludzie i też często się wstydzą, np. z korzystania z takich konsultacji. To się powoli zmienia, zwłaszcza w tych większych miastach. Mam w sobie głęboką wiarę, że to będzie szło falowo oraz będzie się to również zmieniać w tych mniejszych miejscowościach i wsiach.

Trzymajmy więc kciuki, że tak będzie. A wracając do działalności Niepodzielnych, to jak wygląda Wasza codzienna praca w Fundacji? Bardzo dużo się u Was dzieje i domyślam się, że nie jest to takie proste.

K: Dziewczyny o tym nie wiedzą, bo im jeszcze nie mówiłam, ale to jest pierwsza taka moja praca, gdzie popełniłam jakiś błąd w natłoku pracy, przy czym czuję ogromne wsparcie. Dlatego dalej w sumie chcę mi się w to angażować i dalej przychodzę do pracy z nową energią. Nigdy nie ma takiego czegoś, że się obwiniamy za coś i że się nie wiadomo jak stresujemy, tylko zawsze szukamy rozwiązań. I to jest super. Pracuję bardziej z potrzeby serca niż z takiego przymusu czy strachu, bo ja wiem, że my wszystko ogarniemy. Wiem, że to brzmi jakbym to trochę koloryzowała, ale tak jest. Wszystkie mamy do siebie dużą wyrozumiałość, bo wiemy ile pracy nas to wszystko kosztuje. Naprawdę jest tego dużo i jakbyśmy miały się obwiniać za każdą rzecz, która nam nie wyszła, albo którą po drodze zapomnieliśmy, no to ta fundacja prawdopodobnie by nie istniała.



Fot. Marta Kurasz

Wspaniale to słyszeć i widzieć tak dużo energii. Rzadko spotyka się tak pozytywne nastawienie do swojej pracy, szczególnie tak wymagającej. Na koniec powiedzcie mi proszę, w jaki sposób osoby, które chcą pomóc, mogą się zaangażować? Czy każdy może dołączyć do Waszej inicjatywy?

M: Każdy, kto chce zrobić coś dobrego, może do nas dołączyć. Przyjmujemy wolontariuszy z różnych branż. Więc jeśli to jest ktoś dobry w social media, ktoś jest w grafiki, ktoś jest dobry w projektach, ma swoje pomysły, my jesteśmy bardzo, bardzo otwarci na współpracę. Wystarczy żeby ktoś po prostu do nas napisał chociaż e-mail. Teraz tworzymy też nowy program ambasadorski. Jeśli ktoś nawet ma kilka tysięcy obserwujących czy to na TikToku, czy Instagramie, może podjąć z nami taką współpracę. Taki projekt, żeby mówić o zdrowiu psychicznym, szerzyć tę świadomość i informacje o tym, że nasza fundacja w ogóle istnieje i że ludzie nie są sami. My jesteśmy tutaj, żeby faktycznie pomóc. W Polsce wydaje mi się, że jeszcze potrzebujemy takiego rozgłosu, żeby więcej osób się o nas dowiedziało. Zachęcamy również firmy do współpracy, ponieważ wierzymy, że te, które troszczą się o ludzi, zmieniają świat. Wspólnie możemy zwiększyć dostępność wsparcia psychologicznego dla tych, którzy go potrzebują. Więc jeśli ktoś ma pomysł na współpracę, chętnie o tym porozmawiamy – wystarczy się z nami skontaktować.

„W Poznaniu mamy wciąż sporo do podziałania”

10 lat MyTuJemy

Rozmawia: Julia Lipowicz

Zdjęcie: Lula Shots



Magda i Mateo, czyli świetnie znany gastro duet z Poznania, który działa od 2015 roku jako marka MyTuJemy. Odwiedzają miejscówki, kochają jedzenie i pokazują to tak, że ślinka sama cieknie. Od lat wyznaczają w Poznaniu kulinarne trendy. Na Instagramie dzielą się inspiracjami, a poza nim prowadzą szkolenia, warsztaty oraz audyty marketingowe i wizerunkowe. W tym roku MyTuJemy świętują swoje 10 urodziny działalności, a to dobra okazja, żeby porozmawiać o tej kultowej już stronie, jej historii oraz nowych wyzwaniach na przyszłość.

Wróćmy do Waszych początków. Jakie macie wspomnienia związane z tym okresem?

Może wydać się to nieco zabawne, ale najbardziej pamiętamy wspólne obiady w stołówce studenckiej „Jowita”. Choć nie jest to jedno z pierwszych miejsc, które odwiedziliśmy pod szyldem „MyTuJemy”, to bezustannie do tych chwil wracamy i wspominamy – jak to było zjeść surówkę i napić się kompotu w szalonej cenie 5 złotych i 10 groszy. No i jeszcze w pamięci na długo zostanie to, że w duecie chcieliśmy oboje robić dosłownie wszystko. W ogóle nie przyszło nam do głowy, że ktoś mógłby czegoś nie robić. Na szczęście szybko doszliśmy do tego, że jednak 1+1 działa wtedy, gdy każda ze stron dodaje do projektu to, co umie robić najlepiej.

Za jakim miejscem tęsknicie najbardziej? Chodzi o lokal, którego już nie ma w Poznaniu.

Fishka, Geranium z kuchnią roślinną z Jeżyc, Święty (nie z wyboru właścicieli, a na skutek pożaru kamienicy przy Kraszewskiego). Te trzy miejsca chyba najbardziej zapadły w pamięci. Fishka ratowała w czasach studenckich, Geranium karmiła w trakcie pandemii, a Święty był zawsze wspólną śniadaniowo-deserową odskocznią.

Czego brakuje Waszym zdaniu w Poznaniu?

Byłoby super, gdyby ktoś stworzył miejsce z kuchnią nordycką. Taką ze szwedzkimi klopsikami z przeróżnych mięs! Poza tym, wciąż w Poznaniu nie zjemy dobrej kuchni brytyjskiej z full english breakfast oraz fish & chips na czele. Brakuje też smaków Ameryki Południowej. Z rzeczy bardziej przyziemnych, wciąż brakuje nam miejsca na sushi w wersji „all you can eat”. Np. we Włoszech, takie miejsca biją rekordy popularności, często mogą pomieścić w swoich wnętrzach nawet do 500 osób. I wciąż marzy nam się kuchnia polska w nowoczesnym wydaniu, np. jak robi to Beata Świechowska w Młodej Polsce we Wrocławiu.

Jak wygląda Wasz typowy dzień pracy? Czy taki w ogóle istnieje?

No jak to jak? Jedzenie na mieście 24/7! A tak serio, to wcale tak nie jest, często kończymy z biednymi sałatkami z sieniówki albo bułką z piekarni na obiad. Nasza praca to spora dawka planowania, klikania przed komputerem, spotkań, burz mózgów – wszystkiego tego, czego nie widać na Instagramie. Zabawne, że o to pytasz, bo akurat kilka dni temu stwierdziliśmy, że musimy zacząć pokazywać ludziom więcej kulis MyTuJemy, czyli „pracy, której nie widać”. Formalności, kontakt z klientami, moderacja profili, generowanie contentu – to wszystko dzieje się codziennie. Poza byciem twórcami internetowymi, jesteśmy też przedsiębiorcami, a każdy, kto prowadzi działalność w Polsce wie, że to szereg bardzo przyziemnych



obowiązków. Poza tym... żaden dzień w MTJ nie jest taki sam i w sumie to w tej pracy bardzo lubimy!

Ostatni rok był dla Was przełomowy. Postawiliście na rozwój i to dosłownie!

To prawda. Zaczynaliśmy od profilu na Instagramie, a aktualnie jesteśmy portalem. Rok temu poszerzyliśmy zespół o dwie osoby – dołączyła do nas Ania Frankowska, która zajmuje się materiałami wideo oraz Ty, czyli osoba odpowiedzialna za copywriting. Natomiast w styczniu tego roku odnowiliśmy naszą stronę internetową i wystartowała gastro-wyszukiwarka MYTUJEMY. Teraz można łatwo i szybko znaleźć miejsce dla siebie, z podziałem na wiele kryteriów, m.in. okazję, kuchnię czy wielkość grupy.

Teraz wyszukiwarka, a potem... Zdradzicie, co planujecie następnie?

Plany mamy rozpisane na najbliższe 5 lat, ale wdramy je stopniowo. Na pewno poza częścią działalności online, rozbudujemy swoją obecność w świecie offline. Czujemy, jak wiele ograniczeń niesie internet, jak wszyscy po pandemii potrzebujemy realnych spotkań, kontaktu, poczucia społeczności w realu.

Jak już wcześniej wspominaliśmy – wolimy spokojny obrót spraw. Choć nauka nowych rzeczy to zawsze spora frajda – to również dużo pracy, stresu i tremy... Zwłaszcza, kiedy coś ma ujrzeć światło dzienne i zostać zweryfikowane przez naszych fanów. Miesięcznie nasze treści docierają do grona ok 300 tys. osób. To jest spora odpowiedzialność, którą czujemy każdego dnia.

A myśleliście o ekspansji na inne miasta?

Na pewno sercem i ciałem wciąż zostajemy w Poznaniu – mamy tu jeszcze sporo do podziałania!

Cały wywiad na www.freshmag.pl

Pyra Bar

Przenosimy ziemniaka na wyższy poziom

Tekst: Paweł Niedzielski

Zdjęcia: Piotr Żydownik





W antrejce na ryczce stały pyry w tytce... i wiesz, że jesteś w Wielkopolsce, tej! O lokalnej gwarze jednak innym razem, bo dziś skupimy się na regionalizmach, ale w jedzeniu. W tej części kraju trudno wyobrazić sobie produkt, kojarzący się bardziej z lokalną kuchnią, niż właśnie ten w papierowej torebce na taborecie, z początku mojego tekstu. Ziemniak, kartofel, grula czy bulwa, a u nas po prostu pyra. Zabiorę Was dziś do Pyra Baru, czyli miejsca zrośniętego od lat z lokalnym krajobrazem, gdzie ziemniaka odmienia się przez wszystkie przypadki.

Dziękujemy Grekom za Pyra Bar

Pół żartem, pół serio, ale gdyby nie grecka Moussaka, której kilkanaście lat temu młodociany Mikołaj spróbował podczas eksploracji jednej z tamtejszych wysp, pewnie nie mielibyśmy dzisiaj okazji spróbować w Poznaniu pyry w tak różnych wydaniach. Wy z kolei nie czytaliście tego tekstu. Trochę paradoks, że pyra tuż pod nosem, a inspiracja przyszła z Grecji, no nie? Cóż, niezbadane są wyroki. Dalej zrobiło się poważnie – próby odtworzenia smaków, testowanie własnych pomysłów i skrobiowych wariacji, kombinacje z przepisami wokół ziemniaka i wreszcie... testy na ludziach. Uspokajam, wypadły na tyle pomyślnie, że w głowach obecnych właścicieli – Mikołaja i Witka, zrodził się pomysł, że może warto byłoby rozszerzyć grupę testerów.

Ziemniaki liczymy w tonach!

Idea nie musiała kiełkować zbyt długo. Biznesplan, inwestycje w sprzęt, pierwsza załoga i mały lokal – tak 16 lat temu, przy ulicy Strzeleckiej oraz dwa kroki od Starego Rynku, pod szyldem Pyra Bar, wystartowała pierwsza „ambasada ziemniaka” w Poznaniu. Przez lata biznes ewoluował, zyskując coraz szersze grono odbiorców. Dzisiaj, mimo że drzwi dla gości otwierają się o godzinie 11.00, to pierwsze osoby tutaj zaczynają pracę już o 5.00 rano. Żeby dania z ziemniaka, które trafiają na stół były naprawdę jakościowe, potrzeba nie tylko bardzo wiele specjalistycznego sprzętu oraz codziennej, ręcznej pracy przy obróbce, ale przede wszystkim świetnego produktu podstawowego.



– Przez lata mamy sprawdzonych, lokalnych dostawców, zarówno ziemniaków jak i innych produktów warzywnych i mięsnych. Obróbka ziemniaka jest ręczna, zależnie od pory roku zmienia się jego struktura, a efekt finalny musi być przecież taki sam. Żeby tak pozostało, na bieżąco dostosowujemy receptury, a przy 6-8 tonach (!) pyrek miesięcznie, naprawdę jest co robić – mówi Mikołaj, współwłaściciel Pyra Baru.

„Regionalność”, będąca początkowo łatką przypiętą temu miejscu, stała się z biegiem lat znakomitą wyróżnikiem. Trochę dlatego, że zmieniło się nastawienie właścicieli, ale przede wszystkim także powszechne rozumienie i wydźwięk tego pojęcia. W obecnych czasach ludzie wręcz poszukują produktów regionalnych. Stawiają na naturalność,

wspierają lokalne biznesy. Sami przyznacie, że trudno sobie wyobrazić lepsze miejsce dla spróbowania miejscowych specjałów w Pyrlandii niż... knajpa o tę pyrę ewidentnie oparta.

Ziemniaczki zjedz, mięsko możesz zostawić

Nie raz zapewne słyszeliście podobne słowa z ust mamy czy babci, tyle że w ich wersji to ziemniaki były tymi, zepchniętymi nikczemnie na margines talerza. Tutaj nie będzie rozterek. Talerze do kuchni wracają puste, a jak ktoś przeliczy się z apetytem, co w przypadku zapiekanek jest niemal pewne, to co? No pewnie, że resztę dostanie w tytkę! Trochę tam pośiedziałem – wiem, co mówię.



W Pyra Barze są w zasadzie tylko dwa typy ludzi – stali goście i ci, którzy są tu dopiero po raz pierwszy. Ci drudzy, z dużą dozą prawdopodobieństwa, już wkrótce zasilą grono stałych bywalców. Dlaczego tak się dzieje? Bo tutaj po prostu czujesz, że to miejsce jest tworzone z serca, a nie tylko w wyniku kalkulacji. Znajdziesz tu luźne, nieformalne podejście, ciepły klimat, bezpretensjonalną obsługę, a przede wszystkim pyszne i jakościowe jedzenie w bardzo słusznym porcjach.

– Mamy kilka topowych pozycji, na które ludzie regularnie do nas wracają – Kurczak Cukinsyn, Baba od Rzeźnika i Pomielone Gary, te przychodzą mi na myśl jako pierwsze – mówi Witek, współwłaściciel.

Niezależnie od tego, czy chcecie przypomnieć sobie smaki z babci-nego stołu, wcinając Szare Ale Jare albo Plyndze, nakarmić Pyrami z Bzi-kiem lub Śledzionkiem znajomych z Ameryki, czy wpaść na zupę bądź lanczyk z Cukinsynem – o każdej porze wyjdziecie uśmiechnięci i z pełnym brzuchem.

Ciągle ta sama pyra, zupełnie nowe otoczenie

Jedynym ograniczeniem dla Pyra Baru było miejsce, a raczej niewystarczająca jego ilość. Nieduży lokal bardzo blisko kultowej ulicy Wrocławskiej i Starego Rynku, przeżywał w godzinach szczytu obleżenie i chwilami ciężko było odpowiednio ugościć tę wuchtę wiary, która chciała się tu dostać.



W tym roku jednak wiele się zmieniło, bo już na jego początku lokal przeszedł remont i do dwóch pomieszczeń na parterze, dołączyło drugie piętro. Znajdziecie tam dwie dodatkowe, obszerne sale, urządzone w niecodziennym i nowoczesnym klimacie z pięknie operującym światłem słonecznym, gdzie można odpocząć i świetnie się zrelaksować. Zresztą namiastkę całosci znajdziecie na zdjęciach. A to wszystko o jedyne 23 stopnie wyżej niż dotąd...

– Jedyne, albo aż 23 stopnie! Liczniki kroków i przewyższeń u naszej obsługi, biją teraz rekordy, a ekwilibrystyka z talerzami na schodach, jest chwilami zadziwiająca. Zbieraliśmy się do tego kroku dosyć długo i w całej operacji bardzo pomogli nam przyjaciele, którym z tego miejsca serdecznie dziękujemy. Nie ma co ukrywać, potrzebowaliśmy tej zmiany. Chcemy, aby ludzie czuli się u nas komfortowo i swobodnie. Zamiast wcześniejszych kilkudziesięciu osób, aktualnie możemy ugościć około stu pięćdziesięciu, więc prócz gości indywidualnych, pomieścimy też większe grupy – mówią właściciele.

Za chwilę wiosna wybuchnie z pełną mocą, więc osobiście chciałbym też wspomnieć o klimatycznym ogródku na tyłach kamienicy. Sami przyznacie, że jedzenie, pyszna kawa czy lampka wina do kolacji, zawsze lepiej smakują na świeżym powietrzu.

Wiecie co Wam na koniec powiem? Co oni robią tym Pyra Barem? Oni otwierają oczy niedowiarkom, chciałoby się rzec, parafrazując klasyka. Zbudowali miejsce wokół jednego, bardzo lokalnego i trudnego wbrew pozorom produktu, które przez kilkanaście lat konsekwentnie rozwijają – pomimo trudnych dla gastronomii czasów, dalej odważnie spoglądając w przyszłość. Tym ziemniaczanym „Resto-Barem”, bo tak po remoncie lubią o sobie mówić, przenoszą naszą lokalną, poznańską pyrę na zupełnie nowy poziom. Dosłownie i w przenośni.

Co tu dużo gadać Wiara, powinniście tego spróbować.



Klub na Fali z nową energią na sezon 2025

Tegoroczny sezon startuje najwcześniej w historii Klubu na Fali w Poznaniu. Budowa infrastruktury rozpoczęła się 1 kwietnia, a otwarcie planowane jest jeszcze w połowie tego miesiąca. Choć w 2025 roku poznański Klub na Fali obchodzi czwarte urodziny, cała marka świętuje okrągłe 20-lecie istnienia. Co to oznacza? Z pewnością niemałą rewolucję w rozrywkowej ofercie Klubu i nowych doświadczeniach dla jego Gości.

Początek historii – od Boszkowa do Poznania i Sławy

Historia Klubu na Fali rozpoczęła się nad Jeziorem Dominickim w Boszkowie, gdzie przed laty funkcjonowała stołówka “Fala”. Po kilku próbach prowadzenia tam klubu przez kilku różnych właścicieli, w 2005 roku miejsce to wynajął Tomasz Grabianowski, a następnie stworzył wraz z bratem i ojcem pierwszy “Klub na Fali”. Miejsce to od początku związane było z rozrywką, muzyką i relaksem, odpoczynkiem od dnia codziennego i wakacyjnym klimatem. Przez ostatnie lata Klub na Fali nie tylko rozwinął ofertę o szeroką gastronomię i kawiarnię, lecz także przeszedł rebranding, zmieniając swoje barwy z kolorów zachodzącego słońca na turkusowo białe kolory morskich fal. W nowym anturazie Klub na Fali otworzył się w dwóch nowych lokalizacjach – nad Wartą w Poznaniu (2022) i w pierwszej linii do lubuskiego jeziora w Sławie (2024).

We wszystkich tych miejscach Klub na Fali spełnia to samo zadanie sprzed 20 lat. Jest miejscem dla wszystkich, którzy czują się młodo, niezależnie od wieku – zgodnie z claimem marki “Let’s be forever young” – i mają potrzebę relaksu pod palmami przy akompaniamencie najlepszej muzyki i dobrego jedzenia tworzonego na oczach gości.

Nowości na sezon 2025

Sezon 2025 ma być przełomowy dla Klubu na Fali, nie tylko dlatego, że będzie najdłuższy (kwiecień-wrzesień), lecz także pod względem infrastruktury i samej oferty. Konieczność demontażu Klubu co roku i budowy go wiosną na nowo ma ogromny plus – możliwość zmiany ustawienia nawet co sezon. Nie inaczej będzie w tym roku! Klub zmieni swoje ustawienie, a także powiększy się o 1000 metrów kwadratowych powierzchni,



zbliżając się do jeszcze bardziej do Warty. Większy metraż pozwoli stworzyć jeszcze bogatszą ofertę sportowo-rodzinną (siatkówka plażowa, bule, dmuchańce), a także nową plażę Martini. Co ważne, w 2025 większa niż zwykle część infrastruktury będzie zadaszona.

Strefa eventowa i wydarzenia, które przejdą do historii

Na planie Klubu na Fali pojawi się także ogrodzona, biletowana strefa eventowa “Adults only”, w której odbywać się będą wydarzenia muzyczne z najwyższej półki. Letni line up pęka w szwach! W ustawionej pośrodku plaży didżeje zagrają m.in. NeeVald, Bartes, Malvee, John James i wielu innych artystów dobrze znanych z klubowej mapy Poznania. Oprócz eventów muzycznych w piątki i soboty, planowane są Sunday Brunches przy najlepszych rytmach house i r’n'b. Nie zabraknie kultowych wydarzeń typu Sylwester Letni czy White Party, pojawią się także nowe wydarzenia – np. Samba prosto z Rio de Janeiro.

Aplikacja lojalnościowa i portal rezerwacji

Aby umilić gościom pobyt w Klubie, zostanie uruchomiona aplikacja lojalnościowa, dzięki której każda wizyta będzie nagradzana punktami, które można będzie wymienić na nagrody. 1 kwietnia na stronie www.klubnafali.pl/poznan ruszył portal z rezerwacjami online, który umożliwi szybsze niż dotąd rezerwowanie miejsc.

Jak widać, sezon 2025 w Klubie na Fali będzie jeszcze gorętszy i jeszcze bardziej wyjątkowy. Jeśli masz pomysł na współpracę z Klubem na Fali, chcesz zorganizować imprezę, event firmowy, jubileusz czy niestandardowe wydarzenie – napisz: poznan@klubnafali.pl



HUB 5

**Nowe wcielenie
poznańskiej klubowej legendy**

Autor: Paweł Niedzielski



Ide o zakład, że większość fanów elektronicznego brzmienia, nie tylko tych z Poznania, adres bramy przy Grochowych Łąkach 5 ma już wbity na stałe w aplikacjach do przewozu osób. Przez wiele lat w tych murach gościli wyjadacze z różnych obszarów elektroniki, a letni ogródek stał się symbolem afterowego Poznania, gdzie w weekendy imprezowe noce kończyły się grubo po południu.

– Pomysł na klub urodził się w mojej głowie już 2 lata przed otwarciem HUB 5. Problem był tylko z miejscem, aż w końcu... samo do nas przyszło – wspomina Kamil, booker i współtwórca klubu.

I tak od słów do czynów, lekko ponad rok temu, wspomniane miejsce przejęła zupełnie nowa ekipa. Ludzie ze świeżą energią i pomysłami, pełni zapału i chęci, by pokazać zupełnie nowe spojrzenie na znane już od dawna imprezowe przestrzenie.

Odmiana elektroniki przez przypadki

HUB 5, bo tak nazywa się projekt powstały ponad rok temu w murach zajmowanych niegdyś przez Projekt LAB, powstał z miłości do muzyki i ludzi. Jest otwarty na różnorodność, mnogość inicjatyw i tworzy bezpieczną przestrzeń dla ludzi kochających muzykę i dobry vibe. Właściciele zadbali, by różnorodność nie była tu pustym słowem i w klubie regularnie odbywają się autorskie cykle muzyczne, za którymi stoją wyraziste postaci sceny muzycznej, w rozpiętości od house po hard-techno czy uptempo.

Rzecz jasna nie zabraknie też wydarzeń z wielkoformatowymi artystami i to nie tylko spod znaku ciężkiego basu oraz zawrotnego tempa. Nie ma co tu opowiadać, odpalajcie kalendarz i lecimy – imprezowy sezon wiosenny sam się zaplanuje.

MILENA GLOWACKA i cykl ĘCHŌ – premiera 29 marca

Cykl pod wodzą pierwszej i jedynej jak dotąd rezydentki HUB 5, Mileny Głowackiej. Możecie ją kojarzyć z Tresora, FOLD czy ://about blank, a ostatnio także z debiutu w Boiler Room. Milena to producentka i live performerka grająca z winyli, więc możecie się spodziewać sporej dawki dusznego i głębokiego techno wprost z czarnej płyty.



HARD DRIVE, kuratorzy: GIMELA – premiera 23 listopada

Szybkie tempo, energiczny bassline i unikalne melodie – to właśnie GIMELA. Poznański duet didżejsko-producencki, który od 4 lat przyciąga słuchaczy i konsekwentnie umacnia swoją pozycję na scenie muzycznej w kraju i za granicą. Wpadajcie zobaczyć ich niepowtarzalny styl.

CYBER 5EX, kurator: HUGAR – premiera 21 lutego

– CYBER 5EX to przestrzeń, w której odnajdujemy harmonię poprzez kontrasty – wspomina autor cyklu. Wydarzenie inkluzywne, przyjazne osobom queer, sprzyjające swobodnej ekspresji, nawiązywaniu więzi,

wyzwoleniu w tańcu i wyrażaniu siebie. HUGAR – porywa zmysły dźwiękiem i obrazem, łącząc muzykę ze sztuką performance’u. Czy to nie brzmi jak plan?

TLEN, kuratorka: SABRE – premiera 30 listopada

SABRE czyli DJ-ka i organizatorka i współtwórczyni eventów i festiwali spod szyldu proper techno, w ramach cyklu TLEN prezentuje artystów, którzy szczególnie wyróżniają się swoim stylem czy umiejętnościami. Quality music + wyraziste postaci = to się nie może nie udać.

RAVE JUICY WITH YUNG LUCY/ HARD TECHNO – premiera 22 marca

Mieszanka gatunków od industrialu, przez hardcore po uptempo – taki mix serwuje Young Lucy, która rozpoczęła swoją karierę w takich topowych miejscach jak Luzztro czy Transformator, a w ubiegłym roku swoim debiutem w Tamie, rozgrzała parkiet przed Shlomo, który wybrał ją na support podczas Welcome Back Devil. Weźcie „szybkie okulary”, dobrze zawiążcie buty – nie ma czasu na przerwy.



fot. Adrianna Zawadzka

Nie sposób też pominąć kATeRing, twórcy: ATR kollektiv, gdzie możecie się spodziewać indie dance oraz wszelakich odmian house'u, re-HUB, od Null respekt z własną wizją elektroniki w klimacie groove czy industrial, czy wreszcie ENTER, by Dominiak oraz coldfoxy, gdzie w każdym czwartek spotkacie za deckami zupełnie nowe twarze. Już teraz trudno wspomnieć o wszystkich, a z pewnością to nie ostatnie słowo organizatorów.

„Z miesiąca na miesiąc coraz więcej u nas koncertów...” Mitch, booker

Właśnie! Cykle to jedno, ale nie zapominajmy o bookingach spoza wydarzeń cyklicznych, których w nadchodzącym sezonie będzie pod dostatkiem. Dość powiedzieć, że już w najbliższych miesiącach zagospozą w HUB znane nazwiska i to nie tylko sceny techno, ale po kolei.

Żabson 3/04 – SOLD OUT | KONCERT WYPRZEDANY

Żabson zagra w HUB koncert z okazji 10-lecia kariery oraz premiery nowej płyty. Wydarzenie jest częścią trasy Hollywood Smile: X-Perience!, która jak zapowiada sam artysta „wstrząśnie polską sceną muzyczną”. Żabson szykuje muzyczną podróż przez dekadę swojej kariery od undergroundu, po status jednego z najbardziej rozpoznawalnych polskich raperów.

Oliver Huntemann 12/04

Oliver Huntemann to postać, której w światku muzycznym nie trzeba specjalnie przedstawiać. Producent i DJ, tworzył w swoim wyjątkowym stylu remiksy między innymi dla The Chemical Brothers, Underworld czy wraz z Stephanem Bodzinem dla Depeche Mode. Gość festiwalu i topowych klubów na całym świecie. Już w pierwszej połowie kwietnia zagości w HUB 5 – głupio by było przegapić, no nie?

Westbam 09/05

Westbam po raz pierwszy w HUB 5. Na początku maja przygotujcie się na powrót legendy. Człowieka, który od lat 80' poprzedniego wieku tworzył, kształtował i rozwijał berlińską scenę muzyki elektronicznej. To dzięki niemu powstały marki takie jak Mayday, Electric Kingdom oraz wytwórnia Low Spirit. Od samego początku jej istnienia – blisko związany z Love Parade (zresztą – współodpowiedzialny za powstanie jej najbardziej znanych, kultowych już hymnów). W piątek, 9 maja w ramach History Of



Milena Głowacka, fot. Underton

Techno, przeprowadzi nas przez 40 lat swojej kariery w branży. Szykuje się niezwykła, muzyczna podróż.

– Razem z Piotrem, współnikiem, chcieliśmy stworzyć coś więcej niż tylko klub z ambitną elektroniką, ale także community i miejsce spotkań również w tygodniu. Dzięki pracy całego zespołu w tych ciężkich dla clubingu czasach, zmierzamy powoli w dobrą stronę – mówi Mitch, współtwórca HUB 5.

Niech te słowa Kamila posłużą jako podsumowanie i dobra wróżba na przyszłość. Pilnujcie kalendarza i trzymajcie rękę na pulsie, bo nie sposób wymienić wszystkich inicjatyw, które proponuje klub w kolejnych miesiącach. Jednego możecie być natomiast pewni – w tym roku HUB 5 nie raz Was jeszcze zaskoczy.



„Grając techno mogę się naprawdę wyżyć”

Carla Roca

Rozmawiali: Dawid Balcerek

i Rafał Szaroleta

Zdjęcia: Sylwia Klaczyńska

Obecnie jest jedną z najbardziej rozchwytywanych DJ-ek w naszym kraju. Na polskiej scenie klubowej działa już ponad dwie dekady. Zaprawiona w klubowych bojach, gdzie pierwsze kroki stawiała w Na rozkładzie ma też zagraniczne kultowe miejscówki, takie jak Fabric w Londynie czy Tresor w Berlinie. Kilkaście razy zagrała na jednej z największych imprez w kraju – Mayday Polska, co jest ewenementem na skalę międzynarodowej. Prywatnie psychofanka Depeche Mode i wielka miłośniczka muzyki poważnej. Legenda polskiej sceny techno, Carla Roca.

W przyszłym roku minie 25 lat od Twojego debiutu za konsolą. Jesteś weteranką sceny klubowej. Masz spore doświadczenie i dużo pewnie widziałas. Jak w ogóle się z tym czujesz?

Z tak dużym doświadczeniem i wiedzą można tylko czuć się świetnie. Moja sytuacja daje mi dużą pewność siebie w czasie występów i nie tylko. W ciągu tych wszystkich lat spotkało mnie już tyle różnych sytuacji, z którymi przyszło mi się zmierzyć, że nie umiem sobie wyobrazić już teraz czegoś, co mogłoby mnie zaskoczyć i z czym nie mogłabym sobie poradzić. Ponadto wieloletnia obserwacja rynku, zachowania klubowiczów, jak i promotorów, dała mi też wiedzę od strony psychologicznej, dzięki czemu sprawnie poruszam się w środowisku. Czuję się w tej branży jak przysłowiowa ryba w wodzie.

Czy po tylu latach żyjesz już tylko z grania?

Didżejka nigdy nie była moim zawodem, a jedynie zajęciem dodatkowym – hobby, na które zawsze poświęcałam dużo czasu. Żałuję bardzo, że już wiele lat temu nie postawiłam na muzykę i nie zaangażowałam się w ten temat na 100%, bo z muzyką związana byłam od urodzenia. Od 5 roku życia grałam na fortepianie i chodziłam do Szkoły Muzycznej, więc tak naprawdę można było się spodziewać, że muzyka będzie w moim życiu zawsze bardzo ważna. Obecnie zazwyczaj wykradam czas z innych zajęć, aby móc kontynuować temat didżejowania. Moja rodzina od początku raczej nie była zadowolona z tego, że gram i zawsze był nacisk na to, żebym miała inną pracę. Nie brałam więc tematu grania na poważnie, a teraz mogę jedynie żałować, że nie postawiłam na swoim, tym bardziej, że po kilku latach grania moja kariera zaczęła się rozwijać bardzo do-

brze również za granicą. Musiałam przystopować ten kierunek i skupić się bardziej na sprawach innego rodzaju. Nie przypuszczałam też wtedy, że ta branża może się z czasem tak rozwinąć, że będzie można z tego żyć i to tak naprawdę do emerytury.

Carla Roca cały czas wierna techno. A prywatnie, jako słuchaczka, jakiej muzyki lubisz posłuchać w domu? Jak wspominałaś w jednym z wywiadów, kiedyś spędzałaś po kilka godzin przy fortepianie – to trochę daleko od techno.

Ze względu na to, że w mojej rodzinie od pokoleń byli muzycy, to muzyka poważna towarzyszyła mi od urodzenia. Dziadek grał na skrzypcach, babcia na fortepianie, mama jest dyrygentem oraz całe życie zawodowe poświęciła ucząc w Szkole Muzycznej Fortepianu. Kończyła też skrzypce. Brat też na nich grał. Ja chodząc do szkoły muzycznej, byłam zawsze otoczona przez dźwięki instrumentów klasycznych i regularnie chodziłam na koncerty lub sama na nich występowałam. Słuchałam klasyki także w domu. Jestem od zawsze wielką miłośniczką muzyki Mozarta, Bacha i Chopina. Nie każdy niestety ma szansę docenić, jak wielkich emocji dostarcza muzyka poważna, bo nie ma nawet możliwości zabrnąć aż tak daleko, żeby się z tą muzyką i jej brzmieniem oswoić.

Co do muzyki elektronicznej, to również towarzyszyła mi całe życie. Od jej początków, przez różne etapy jej rozwoju. Zawsze jej słuchałam, bo jej dźwięki były dla mnie niebywale intrygujące i tajemnicze. Od dziecka byłam też fanką Depeche Mode i już od szkoły podstawowej w 93 roku jeździłam za nimi na koncerty. Ich muzyka, teksty piosenek, jak i samo bycie depechem miały duży wpływ na kształtowanie mojej osobowości. Depeche Mode towarzyszy mi do dziś i tak już pewnie zostanie na zawsze. Trochę to wszystko może się wydawać niespójne z tym co gram, jednak we mnie gdzieś głęboko drzemie wulkan energii i grając techno mogę się naprawdę wyżyć i uwolnić trochę tej energii. Czuję poza tym niesamowitą jedność z tą muzyką. Techno działa na mnie jak lekarstwo na wszystko. Grając techno – w pewnym sensie – uzdrawiam się i wyrównuję poziomy energii. Znika zmęczenie i dzieje się coś magicznego, czego nawet nie umiem opisać. Nie mogłabym grać innego gatunku. Ale przyznam się, że poza przesłuchiowaniem nowych tracków w tygodniu, kiedy szukam materiału na kolejne sety – albo poza imprezami, na których gram – to rzadko włączam techno, a już na pewno nie zdarza mi się przesłuchiwać setów innych DJ-ów. Prawdopodobnie też ze względu na brak wolnego czasu.

To pewnie nasłuchasz się przy stole podczas obiadu rodzinnego, zamiast grać koncerty w filharmoniach, to Ty sobie puszczasz muzykę na imprezach. (śmiech)

Może Cię teraz zaskoczę, ale np. moja mama – mając świadomość realiów życia muzyka – właśnie nie chciała, żebym w ogóle wiązała swoje życie zawodowe z muzyką i graniem na czymkolwiek. (śmiech) Gra na instrumencie i obcowanie z muzyką poważną daje możliwość dużego rozwoju intelektualnego i też wzmocnienia pod względem samodyscypliny i siły charakteru. Myślę, że o to najbardziej chodziło rodzicom, kiedy w dzieciństwie wysłali mnie do szkoły muzycznej.

Jakiś czas temu publikowaliśmy artykuł o kultowych miejscówkach,, których już nie ma na klubowej mapie Poznania. A Ty, który klub lub cykl imprez najlepiej wspominasz?

Jako poznanianka nie mogę odpowiedzieć inaczej – Eskulap. Odbywały się tam niesamowite imprezy, zawsze ze wspaniałymi ludźmi i klimatem. Najlepiej wspominam cykl organizowany przeze mnie, czyli Black Point Night, który odbywał się tam w latach 2002–2009. Nie omijałam też imprez z cyklu Tresor Night oraz Hypnotic Experience, organizowany przez Epixa.

A w kraju?

Biorąc pod uwagę całą Polskę, to chyba żaden klub nie ściągał tylu ludzi z całego kraju jak klub Kanty w Jaworznie. Byłam tam przez wiele lat niemal w każdy ostatni piątek miesiąca. Wtedy odbywały się tam imprezy techno, a ja pojawiałam się tam jako klubowicz, potem jako też DJ, a na końcu również jako rezydentka tego klubu. O znaczeniu tych dwóch miejsc dla ludzi i rozwoju clubbingu w Polsce można napisać prace naukową. (śmiech)

Na łamach polskiego labelu Dual Force Records ukazał się Twój remix kawałka „Overload” – Maxa Treshera. Jak do tej pory jest to Twoja jedyna produkcja. Biorąc pod uwagę Twój muzyczny backgroundund nachodzi pytanie, dlaczego tak mało produkujesz? Wiążesz w przyszłości plany z produkcją muzyki?

Odpowiedź na to pytanie jest bardzo prosta. Jak do tej pory wydałam tylko ten jeden numer, ponieważ nie mam czasu skupić się na produkcji. I gdyby Max Tresher mnie mocno nie przycisnął, to i tego jednego by nie było. Jak wspominałam już wcześniej, bycie DJ-em i wszystko inne, co jest związane z muzyką – to są moje dodatkowe zajęcia. W tygodniu mam inną pracę. Nie można też pominąć istotnego faktu, że mam rodzinę – syna, który chodzi do szkoły, a więc pełnię też rolę mamy. Do tego zajmuję się domem i mam wiele obowiązków, które i tak wypełniają mi każdy dzień na full. To, co udaje mi się „wyrwać” każdego dnia, aby spełniać się też w roli DJ-a, często okupione jest zarywanymi nocami, przemęczeniem, nieraz nawet frustracją. Jako

jedna z najbardziej rozchwytywanych DJ-ek w Polsce, tematów związanych z samym graniem mam już tyle, że mogłabym obdzielić nimi co najmniej jeszcze dwa etaty. Mimo tego, że cały czas pracuję 7 dni w tygodniu – od rana do nocy na pełnych obrotach – nie wszystkie moje plany i marzenia jestem w stanie realizować. Jako osoba z wykształceniem i doświadczeniem muzycznym mam już dużą wiedzę na temat produkcji i kompozycji muzyki. Mam solidne podstawy, których nie jeden producent mógłby mi pozazdrościć. Kończyłam też w Londynie produkcje w Point Blank Music College. Od lat ćwiczę swoje umiejętności m.in. w Abletonie. Dwa lata temu kupiłam mieszkanie, w którym mam studio, gdzie mogę swobodnie pracować nad muzyką – oczywiście jeśli mam na to czas. Dlatego dużymi krokami zbliża się już moment, kiedy to wszystko wystartuje u mnie na dobre i wtedy będę nie do zatrzymania. (śmiech)

W tym temacie postawiłam na uczciwość i samodzielność. Nie będę kupować kawałków, pod którymi trzeba się tylko podpisać. Dlatego musi to siłą rzeczy trochę potrwać. Nauka produkcji to też lata pracy. Nie rozumiem, jak ludzie mogą myśleć, że ktoś kto gra od roku i nie ma żadnej przeszłości na gruncie muzycznym, jest w stanie nagle wypuścić super produkcję. To nierealne.

Wracając do moich planów w tym temacie, to w mojej pracy zawodowej kończy się niedługo kilka ciężkich projektów i myślę też nad tym, że będzie to moment mojego przejścia zawodowo na stronę muzyczną. Tak więc, będę w końcu mogła się bardziej zaangażować – zarówno w granie jak i produkcję.

Pracuję także nad własnymi kursami didżejskimi, które chciałabym uruchomić w ciągu najbliższego roku. Ludzie stale proszą, żebym podzieliła się z nimi swoim doświadczeniem i specjalistyczną wiedzą. Wierzę, że posiadam unikalne kompetencje i mogę przekazać wiele cennych informacji, do których dostęp ma na ten moment niewiele osób w Polsce. Poza latami doświadczenia i praktyki, brałam też udział w kilkumiesięcznym mentoringu w międzynarodowej agencji bookingowej pod okiem managerki DJ Anny, Samy Abdulhadi czy Victora Ruiza. Wspaniale będzie dalej przekazywać tę wiedzę. Jest to wiedza bardzo unikatowa na naszym polskim rynku. Miało być o kawałku, a poszło trochę dalej w tej mojej odpowiedzi. (śmiech) Jednak clue jest takie, że kawałek jest jeden, ale będzie wkrótce dużo więcej! Amen.

W zeszłym roku obył się 25-lecie Mayday, bliskiej Twemu sercu imprezy. Powspominajmy trochę...

Mayday jest mi szczególnie bliski, ponieważ jestem z tą imprezą związana już od 23 lat. Pierwszy mój występ miał miejsce w 2002 roku i było to już na samym początku mojej kariery. Do tej pory zagrałam już kilkanaście razy, co jest też ewenementem na skalę międzynarodową.

Zdarzyło się też, że w ciągu jednego roku udało mi się zagrać trzy razy, bo oprócz polskich dwóch edycji – w 2023 i 2024 roku – miałam również występ na Mayday Dortmund w Westfallenhallen, które odbyło się w kwietniu zeszłego roku. Bardzo cieszę się z tego, że jestem tak doceniana przez organizatorów i że darzą mnie takim zaufaniem. Jest to wyjątkowa impreza i jedyna, która odbywa się nieprzerwanie od tylu lat! Jedyna, która ma też tak bogatą historię hymnów z każdej edycji, które stanowią ważny element klimatu i odczucia, że to jednak nie jest zwykła impreza, a coś więcej. Każda edycja jest perfekcyjnie zorganizowana i dopięta na ostatni guzik. Ludzie przyjeżdżający z całej Polski stanowią jedną, wielką rodzinę, co daje się odczuć poprzez panujący klimat. I to nie tylko 10 listopada w Spodku, ale i przez cały rok, kiedy spotykam fanów Mayday w innych miejscach i klubach w Polsce. Ostatnia impreza, czyli 25-lecie było fantastyczne, a już kilka dni przed imprezą był sold out biletów. To o czymś świadczy. Granie na Mayday to wspaniałe doświadczenie i mam nadzieję, że będę miała szansę zagrać tam jeszcze niejedną raz.

**Jak oceniasz „kontrowersyjne” zaproszenie Tiesto na Auditorium?
Co sądzisz o tym ruchu organizatorów?**

Jestem w stanie zrozumieć, że festiwal chce się rozwijać w różnych kierunkach i kierować swoją ofertą do większego grona osób. Być może wcześniejsze lata pokazały, że to, co było do tej pory, nie przyniosło jednak zakładanych rezultatów. Należy pamiętać, że festiwale tego formatu to już nie tylko zabawa i chęć osiągnięcia satysfakcji przez organizatora. To już jest duża odpowiedzialność i na pewno wiele analiz i badań stoi za takimi, a nie innymi decyzjami. Chcielibyśmy wszyscy, aby muzyka nie była w żaden sposób zależna od pieniędzy i biznesu, jednak niestety już dawno muzyka to wielki biznes i widać to na każdym kroku. Widzimy to choćby po tym, jak ważny wpływ na kompozycję, formę i brzmienie utworów mają algorytmy oraz statystyki Spotify.

Gdzie usłyszymy Cię w najbliższym czasie w Poznaniu?

Już 12 kwietnia pojawię się w klubie HUB, gdzie zagra również Olivier Huntemann, a 23 maja w Tamie, na imprezie Rave the Planet Clubshow.

Luźne pytanie na koniec. Masz nieograniczony budżet i robisz swój festiwal. Wymień 3 Twoich headlinerów.

Może nie na jednej scenie, ale na pewno chciałabym usłyszeć kilkugodzinny set Richiego Hawtina. Mimo że muzycznie to nie do końca mój gust, to miło byłoby popatrzeć na ogień i energię I Hate Models. Nie wiem kogo jeszcze. (śmiesz)

Cały wywiad znajdziecie na www.freshmag.pl



Poznański turntablizm i jego historia

DJ – pierwszy element hip-hopu

Tekst: Dawid Balcerek i Tomasz Grzeszkowiak

Zdjęcie: Tomek Dzięcielski

Gramofony nie służą tylko do odtwarzania muzyki czy jej miksowania. W rękach kreatywnych DJ-ów stają się one pełnoprawnymi instrumentami. W wielkim skrócie, turntablizm to sztuka tworzenia nowego rodzaju muzyki za pomocą miksera i gramofonów, nierozzerwalnie związana z kulturą hip-hopową. Tłuste scratche, wyszukane cuty, żaglerka bitami – to jest to, co najbardziej kręci w tym wszystkim. Poznańska scena turntablistyczna od samego początku jej powstania, miała mocnych reprezentantów i tak jest do dzisiaj. To właśnie im dedykujemy ten tekst i składamy hołd chłopakom, co zarywali noce na doskonaleniu swojej techniki.

Back to the roots

W 1973 r. DJ Kool Herc, podczas imprezy na Sedgwick Avenue, stworzył podwaliny kultury hip-hopowej. Z upływem lat mikser i dwa gramofony, w rękach utalentowanych DJ-ów, stały się pełnoprawnymi instrumentami muzycznymi. Jednym z najwybitniejszych, nomen omen, magików w tym fachu był Grand Wizard Theodore. Jak głosi legenda, jego mama zaczęła krzyczeć, aby ściszył muzykę, więc synek położył rękę na płycie winylowej, by ją zatrzymać. Następnie ruszył płytę w przód i w tył – tak powstał skrecz, nowy dźwięk, nowa technika, która zmieniła oblicze hip-hopu.

Z tą historią na pewno nie zgadza się Grandmaster Flash, notabene mentor Wizard'a. Jaka jest prawda, nigdy się nie dowiemy. Na pewno wiemy, że Grandmaster Flash robiąc flamastrem znacznik na płycie, udoskonalił sztukę miksu i skreczu.

Przełomowym momentem był rok 1984. Na rozdaniu nagród Grammy Awards, legenda jazzu Herbie Hancock wykonał nową kompozycję „Rockit”. Udzielił się na niej Grand Mixer DXT i cały świat poznał skrecz.

Pionierzy

Poznaliśmy co to scratch, więc przejdźmy do Poznania. Bez cienia wątpliwości, prekursorem hip-hopowego kręcenia czarnymi płytami w naszym mieście jest DJ Decks, który swoją przygodę z płytami rozpoczął w 97 roku. – Pierwszy sprzęt to była jakaś Unitra. Potem kumpel załatwił z Niemiec Technicsy 1200. Natomiast pierwszy mikser kupiłem w jakimś śmiesznym komisie. Kilka dni później zobaczyłem w DJ Shopie (nieistniejący sklep z płytami na ul. Św. Marcina, przyp. red.) jak DJ Matush leciał na dwa gramofony z numerem „I got five on it” na mikserze Gemini – zwariowałem! Musiałem go mieć, więc poszedłem oddać ten rupień z powrotem do komisji i kupiłem to cacko. Miałem taką kasetę VHS „Turntabale TV”, z której uczyłem się pierwszych rzeczy. Wtedy też zagrałem debiutancką imprezę w Eskulapie – wspomina Decks.

Po dołączeniu do Slums Attack pod koniec lat 90, zaczął regularnie wrzucać skrecze na płyty zespołu. Już w 99 roku na albumie „Całkiem Nowe Oblicze” ukazał się pierwszy numer z samymi skreczami pt. „I stąd światło”, gdzie poznaniak pokazał światu swoje skillsy. W tym samym roku wydał również swój debiutancki mixtape, na którym pokazał pełen wachlarz swoich umiejętności. Poznaniak poszedł za ciosem i chwilę później wypuścił drugą część. Był w takim cugu drapania, że w 2001 roku zajął 4. miejsce na mistrzostwach Europy DJ-ów, Vestax Eztravaganza. Były to wówczas najbardziej prestiżowe zawody.

Przenieśmy się teraz na Rataje i koniec lat 90., gdzie swoje pierwsze skrecze kładą DJ Hen oraz DJ Mentalcut. – To były zupełnie inne czasy,

samo zdobycie gramofonów wymagało ogromnego wysiłku, nie wspominając o nauce skreczowania czy miksowania. Nie miałem nikogo, kto mógłby mi z tym wszystkim pomóc, wskazać jakiś kierunek. Byliśmy pierwszym pokoleniem w Polsce, które zajęło się skreczowaniem. Gdy mówiłem wtedy znajomym czy rodzinie, że w przyszłości chciałbym żyć z muzyki, to pukali się w czoło i nie traktowali mnie poważnie. W tamtym czasie należało być trochę szalonym – mówi nam o swoich początkach Mentalcut. Z czasem przyszły też sukcesy na scenie – w 2004 roku zdobył tytuł wicemistrza Polski międzynarodowej organizacji DJ-ów ITF, a w 2009 roku, wg czasopisma DJ Magazine, uznany został najlepszym DJ-em w Polsce. – Poświęciłem się temu w 100%, ćwiczyłem codziennie przez pierwszych kilka lat. Do 2003 roku granie imprez zupełnie mnie nie interesowało, zamierzałem tylko skreczować i brać udział w zawodach. Kluby zaczęły mnie jednak zapraszać na pokazy turntablizmu i stopniowo przerodziło się to w granie standardowych setów. Zajmuję się tym do dziś. Nie patrzę z sentymentem na tamte czasy. To były bardzo trudne lata dla prawie każdego w Polsce, a tym bardziej dla kogoś, kto myślał sobie niecodzienną i kosztowną pasję – podsumowuje Mentalcut.

Wspomniany wcześniej DJ Hen to była również nietuzinkowa postać na naszej scenie. Facet w dwutysięcznych latach wziął udział w kilkudziesięciu zawodach turntablistycznych w kraju i Europie, w których często stawał na podium, m.in. był finalistą w roku 2001 na DMC Technics Poland oraz w 2003 roku na ITF EastEurope. – Pamiętam, że miesiącami ćwiczyło się w chacie coś (seta) i na koniec i tak nerwy zjadały wszystko, hahaha – wspomina swój udział w zawodach. Heniu działał również w późniejszych latach w kolektywie Lordz of Faderz i kład swoje skrecze na produkcjach czołowych raperów w kraju. Zobaczcie koniecznie na YT jego video, „Represent Yourself”.

Złota era hip-hopu

Na początku XXI wieku w Polsce był wieku bum na hip-hop i wszystko co jest z nim związane, czyli turntablizmem włącznie. W 2001 roku ukazała się płyta „Manewry Ciętego Dźwięku”, gdzie czołowi polscy drapacze dosłownie katują nas dźwiękami przez ponad 70 minut. Udzielił się na niej m.in. DJ Kostek, który przez lata był mocno związany z poznaniską sceną. – DJ Trakmajster miał niezłego fioła na punkcie turntablizmu. Potrafił do Ciebie zadzwonić i „batelkować się” przez telefon! – wspomina DJ Decks historię z pomysłodawcą „Manewrów”.

Pojawiał się już system serato, który ułatwiał pracę za konsolą i nie trzeba było ze sobą wozić skrzyń z płytami. To były najlepsze czasy dla DJ-ów. Każdy raper chciał mieć DJ-a za plecami oraz skrecze na płycie. W Poznaniu można było się bawić na imprezach hip-hopowych od ponie-

działku do soboty. Kluby prześcigały się w bookingach, a DJ-ów mnożyło się „jak mrówek”.

Wracamy na Rataje, bo tam swoje pierwsze skrezcze kładą DJ Show oraz DJ Story. Ten drugi należał do wspomnianego wcześniej kolektywu Lordz of Faderz. Razem z DJ Henem i DJ Soiną rozkręcali poznańskie imprezy, gdzie kładli duży nacisk na prezentowanie swoich turtablistycznych umiejętności.

Był taki bum, że w 2003 i 2004 roku sieć komórkowa Idea zorganizowała zawody POP DJ, do których eliminacje odbywały się również w Poznaniu – dwa lata z rzędu triumfuje DJ Hen, gdzie w Warszawie dochodzi do finałów. Na imprezach oraz lokalnych produkcjach pojawiają się nowe twarze, m.in. DJ WU, DJ Simo, DJ Polar, Taek czy DJ Rink.

Natomiast w 2008 roku, na zawodach organizowanych przez Mentalcuta, pojawił się DJ Czarny, który wraz z Hubertem Tasem wynieśli poziom turntablizmu na jeszcze wyższy poziom. Sprawdźcie ich koniecznie na YT! Nagrali też wspólnie dwie płyty, „Passion, music hip-hop” (2011) i „Time To Bulid” (2013), które wpisały się w historię polskiego turntablizmu. Czarny i Tas w 2011 roku zostali wicemistrzami świata w kategorii „show” na najbardziej prestiżowych zawodach federacji IDA.

Mixtejp

Mixtejp to tak naprawdę wyznacznik wszystkiego. To tutaj DJ ma nieograniczony czas i swobodę, by pokazać w pełni swoje umiejętności. Dzisiaj to rzadkość, ale kiedyś dzięki nim poznawaliśmy najnowsze kaski muzyczne, a to wszystko wychodziło na kasetach magnetofonowych, które krążyły z ręki do ręki. To była nasza karta YT i lista Spotify.

Wspomnieliśmy już DJ Decksa i jego pierwsze kasety, ale warto napisać o jego trzecim, legalnym wydawnictwie, gdzie jako pierwszy w kraju wydał mixtejp producencki. Wyprodukował bity, zaprosił raperów, a na koniec to ładnie zmiksował. Decks nie usiadł nigdy na laurach, nawet po serii producenckich płyt. W międzyczasie wypuścił również dwa pełnoprawne mixtejpy z DJ Takiem.

Poznańscy DJ- byli bardzo płodni pod tym względem. Regularnie wychodziły rzeczy od Mentalcuta, DJ Hen i DJ Face puścili dwie części „Brudnego Południa”. To wszystko wychodziło fizycznie na CD.

Z czasem ukazywały się też „mixtejpy”, które były współpracą DJ-ów z raperami. Nie były to pełnoprawne mixtejpy, ale mogliśmy sprawdzić, co kto potrafi. Tak np. DJ Simo oskreczował dwie płyty Kobry, a DJ Uras położył masę cutów na PMixtape „Dejmu”. DJ Hen i DJ Soina często tak działali z DonGuralesko oraz innymi raperami.

– Nie wyobrażam sobie DJ-ingu bez mixtejpów. Od 2011 wypuściłem ponad 20 mixtejpów i czuję, że jestem w tej dziedzinie jedną z kilku

lub kilkunastu osób w Polsce, które uprawiają jeszcze DJ-ing w tej formie. W tym roku zamierzam wypuścić dwa mixtejpy, w tym jeden z donGURALesko, a drugi z okazji mojego 20-lecia działalności – mówi nam DJ Soina, który jest chyba wyjątkiem na obecnej scenie. Dlaczego dzisiaj wychodzi tak mało mixtejpów? – Ja na koncie mam ich sporo i nie chodzi mi o płyty producenckie. Niech się tłumaczy ci, którzy ich nie robią. (śmiech) Miałem w planach z Taekiem zrobić kolejny wspólny mixtejp, typowo turntablistyczny. Może jeszcze uda się to zrobić? – komentuje sytuację DJ Decks. Trzymamy kciuki, żeby taki projekt ujrzał światło dzienne.

Obecna scena

Jak ważnym ośrodkiem polskiego turntablizmu jesteśmy, niech świadczy fakt, że w ubiegłym roku gościliśmy w Poznaniu eliminacje do mistrzostw świata w skreczu federacji IDA. Nocny Targ Towarzystki pękał w szwach, a w jury zasiadali DJ Decks, Chmielix i DJ Falcon1.

W Poznaniu aktywnie działa jeszcze wiele innych osób, których ksywki warto przytoczyć. Nie można nie wspomnieć DJ Kaczego z duetu Psychopads, DJ Wubera (swoim show na gramofonach otwierał koncerty m.in. Edo G, Ras Kassa i GZA z Wu Tang Clan) czy specjalistę od breakingu: DJ Strugi od lat kręci płytami na bitwach b-boy'owych.

Sztukę turntablizmu, godnie kontynuuje kolektyw Drapacze Wosq. Półfinałisci eliminacji Ida Poland od lat organizują skrecz-sesje w poznańskich klubach. – Przyszłość skreczu w Poznaniu widzimy raczej w czarnych barwach. Oczywiście jest stara gwardia wymiataczy, która będzie drapać aż sił w łapach wystarczy. Niestety nowych twarzy jest mało. Jest wysoki próg wejścia. Nauka skreczu wymaga olbrzymiej dyscypliny i cierpliwości. Trzeba mieć naprawdę pasję i kochać muzykę, aby codziennie poświęcać minimum 2 godziny na ćwiczenie technik. W „tiktokowej” erze, który z dzieciaków ma tyle samozaparcia? – komentują obecną sytuację. Swoje trzy grosze dorzuca Mentalcut: – Ta profesja szczyt popularności ma już za sobą, co nie oznacza, że nie wydarzy się w tej branży nic interesującego – przeciwnie, uważam, że właśnie takie czasy, gdy zostaną już tylko prawdziwi pasjonaci, stworzą najciekawsze rzeczy.

Jednak, żeby zamknąć temat optymistycznym akcentem, Drapacze widzą również światelko w tunelu: – Bardzo ucieszyła nas frekwencja na ostatniej skrecz sesji, gdzie klub pękał w szwach. Widzieliśmy sporo nowych twarzy, a rodzice przywieźli swoje dzieciaki nawet z Gniezna i Konina. Widzimy i słyszymy renesans klasycznego hip-hopu. Zgłaszają się do nas małolaty, które chcą mieć DJ-a za plecami na swoich koncertach. Dostajemy prośby o dogranie skreczy na nowych produkcjach. Poznański underground ma się naprawdę dobrze, wciąż pojawiają się nowe twarze. Dzisiaj każdy chce być emce, więc na skreczujących DJ-ów jest popyt i tu widzimy szansę dla młodych.



BEACH BAR



RESTAURANT



EVENTS

ZANURZ SIĘ W RAJU.

Twoja letnia przygoda zaczyna się w Klubie na Fali.

NAJLEPSZA MUZYKA • BIAŁY PIASEK • PALMY

Prawdziwa Włoska Pizza • Makarony Wyrabiane na Miejscu • Grill i Ryby z Pieca • Koktajle • Kawiarnia

rezerwacje • urodziny • imprezy firmowe
wieczory panieńskie | kawalerskie

NAPISZ DO NAS:
poznan@klubnafali.pl



CLUB & LOUNGE & RESTAURANT

SŁEDŹ NAS NA:



ZAMÓW NA

Wolt

Coca-Cola®
ORIGINAL TASTE

SAY
CHEESE



ul. Małeckiego 22 | ul. Wysoka 12 | POZNAŃ

• PREMIUM KEBAB •

